№ 21. Warszawa, dnia 26 (14) Maja 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Okres złodziejski.

Zamierzona reforma kodeksu karnego, którego projekt był również przedmiotem narady naszych delegatów prawniczych, winna była, zwłaszcza w prasie dziennej, wywołać szereg rad i objaśnień, wyrażających potrzeby kraju. Wielkiego jednak gwaru nie słyszeliśmy; nawet tak ważna sprawa nie zdołała, bodaj chwilowo, zepchnąć na plan drugi tych kwestyj teatralno-dyplomatycznych, które u nas wypełniają cały niemal porządek dzienny. Nie wątpimy, że specyaliści w prawoznawstwie daleko gruntowniej mogli rozebrać projekt kodeksu, niż krytykujący go bez należytego przygotowania literaci, zdaje nam się wszakże, że i ci ostatni w tej rozprawie nad systematem kar mieli swoją dość ważną rolę. Dziennik jest również sądem, do którego napływają nieprzerywające się nigdy potoki skarg, zażaleń i życzeń społeczeństwa, i on więc rozporządza pewnym zasobem wprost z życia poczerpniętych spostrzeżeń, które przy ustanawianiu norm prawnych dają nader cenny materyał. Jakkolwiek rozpatrzony w zamkniętem kole, ogólnikowy projekt kodeksu został już do właściwego warsztatu z uwagami delegacyi naszych obrońców odesłany, sądzimy przecież, że nie tak prędko rozwinie się on i uzyska moc obowiązującą, że zatem łączyć z nim jeszcze pragnienia wolno i warto.

Nie mając pod ręką planu przyszłej budowy, nie możemy zajmować się jego szczegółami, a nawet wskazywać tu wszystkich potrzeb naszego życia; zaznaczymy więc tylko ogólnie jedną, najszerzej odczutą — potrzebę skutecznego wędzidła dla uzuchwalającego się coraz bardziej występku. W społeczeństwie naszem utrwaliła się wiara, że od lat kilkunastu zbrodnie uzyskały większą niż przedtem bezkarność. Ogół ze stoicką obojętnością patrzy na najbezczelniejsze objawy złych instynktów i nie podejmuje dość energicznej przeciw nim walki, przekonany, że w najczęstszych wypadkach jest bezbronnym. Dzieje się to mianowicie ze złodziejstwami. Ziemianie płacą podatki znanym w całej okolicy koniokradom, ludność miejska pozwala sobie przetrząsać kieszenie rzezimieszkom, pokątni doradzcy, lichwiarze, stręczycielki prowadzą swoje rzemiosło jawnie, a społeczeństwo nie czuje możności tępienia tych gadów. W krótkim stosunkowo czasie, nie przerywając samochwalstwa nad naszą wyjątkową uczciwością, doszliśmy do nadzwyczajnego zobojętnienia moralnego, do jakiejś martwej apatyi: tak oswoiliśmy się z rozbojem i rabunkiem, jak gdyby one leżały w najprawidłowszym rozwoju życia. Już nas wcale nie dziwią doniesienia pism o kradzieżach koni, bydła, pugilaresów, towarów, skarbonek kościelnych, kas ogniotrwałych, nawet bram i parkanów. Całym naszym odporem jest tylko staranne zapinanie odzieży lub zamykanie drzwi. Kodeks karny bywa przywoływany na pomoc bardzo rzadko a i wtedy próbujący tej drogi, najczęściej po wyroku ostrzegają niedoświadczonych, ażeby się jej strzegli, ażeby lepiej znieśli stratę, niż szukali wynagrodzenia. Niedawno Kuryery opisywały zuchwalstwo złodzieja, który, złapany na gorącym uczynku i po wylegitymowaniu się wypuszczony z cyrkułu, zbił z towarzyszami na ulicy śmiałka, co odważył się go skarżyć. Takie okropności dzieją się nie w puszczy, ale w stołecznem mieście, w biały dzień, wobec sądów i władz bezpieczeństwa publicznego, czuwających nad każdem poruszaniem się jednostki i mających tysiące sposobów drobiazgowej nad nią kontroli. Puszczona w obieg charakterystyczna nazwa dla rzezimieszka „nasz znany" nie jest ulicznym konceptem, ale trafnym wyrazem naszej demoralizacyi. Najczynniejsi złodzieje w Warszawie są znani, widujemy ich w tramwajach, cukierniach, kościołach, przed wystawami sklepów i trumnami licznych pogrzebów, wielu wskazuje ich palcami, a może niedługo wszyscy z obawy kłaniać się im będą, tak samo jak już dziś chłopi kłaniają się w pewnych okolicach najzręczniejszym koniokradom.

Ustawiczność występków jest zrozumiałą w wielkich miastach Europy, gdzie ruch ludności używa wszelkiej swobody i utrudnione warunki życia popychają do upadku; ale nie jest ona w swych obecnych rozmiarach naturalną u nas, gdzie te warunki nie wywołują tak silnie złych instynktów, a nadewszystko gdzie jednostka po za koło baczności policyjnej nigdy nie wychodzi. Widocznie zatem nasz kodeks karny otworzył występkom furtki, które zamknąć winien. Nie spodziewamy się od surowych kar jedynego ratunku, gdyż na moralne zdrowie ogółu składa się bardzo wiele innych czynników; o ile wszakże ono zależy od sądów i organów bezpieczeństwa publicznego, pragnęlibyśmy wzmocnienia ich władzy. Życzenie zaś nasze odnosi się szczególniej do przestępców z rzemiosła, uwijających się swobodnie, a płoszonych jedynie protokółami przez cyrkuły i karanych krótką kozą przez sądy. Dotychczasowe kiełzna wcale do powstrzymania ich nie wystarczają. Trzeba się rozstać z dziwnym humanitaryzmem, który dla interesu złodziejów poświęca ogół ludzi uczciwych. Ci ostatni dźwigają daleko cięższe brzemię ograniczeń niż pierwsi, którzy wiedzą, że złapani staną tylko do protokółu a później przed sądem, który albo ich winy nie wykryje, albo litościwie ukarze a w każdym razie nie przeszkodzi między oskarżeniem a wyro-

kiem popełnić mnóstwa nowych kradzieży. Nie przeszkodzi, bo nie może. Sądy nasze nie okazywałyby tolerancyi dla występków, gdyby ich nie krępowała ustawa. Ułomność jej w tym względzie rozzuchwala złych i osłabia zaufanie do sprawiedliwości publicznej w uczciwych.

Chociaż niedokładne wykazy statystyczne wskazują nam olbrzymi wzrost kradzieży — ale ile wymyka się rachunkowi! Nie przejdzie od rogatek mokotowskich do powązkowskich ani jeden tramwaj, żeby w nim komuś nie wyciągnięto zegarka lub portmonetki. Chwilami zdaje się, że żyjemy w okresie złodziejstw, tak one spotykają nas często, wszędzie, bo nawet tam, gdziebyśmy ich najmniej spodziewać się winni. Kradzież przebrała się w tysiące postaci, uprawniła się tysiącem sposobów, zabezpieczyła tysiącem wykrętów, a występuje już z taką bezczelnością, że sędzia, uwalniający znanego rzezimieszka, nie jest pewien, czy wróciwszy do domu, nie zastanie go próżnym i nie znajdzie wesołej kartki od uszczęśliwionych jego nieobecnością — złodziejów. Bo i takie wypadki się zdarzały...

Tak więc nowy kodeks karny powinien koniecznie obmyśleć środki przeciwko tworzeniu się i swobodnemu rozwijaniu rzemiosł występnych, całych band złodziejskich, opryszków nieszkodliwie trwożonych protokółami cyrkułowymi. W przeciwnym razie za lat kilkadziesiąt pewne warstwy naszego społeczeństwa przegniją, objawi się zdziczenie moralne, tem niezawodniej, że inne wpływy nad poprawą obyczajów pracują słabo.

N.

KŁÓTNIA ZASAD.

Parlament angielski na mieszkańcach stałego lądu robi to samo wrażenie, co każdy włóczący się po Europie syn Albionu: jest praktyczny, poważny i — śmieszny. Nieraz trudno się powstrzymać od serdecznej wesołości, słuchając długich rozpraw przedstawicieli oświeconego narodu nad tem, czy należy otworzyć muzea i galerye w niedziele lub dozwolić profesorom uniwersytetu zdjąć togi. Anglia — to rzeczywiście olbrzymi klub Pickwicków, w którym Dickensowie nigdy wymierać nie powinni. Posiada ona wrodzony wstręt do wszelkich reform, do praktycznego stosowania wszelkich zasad, których słuszność nietylko wykazała teorya, ale zatwierdziło życie. W oporze swoich przeciwko szybszemu rozwojowi stosunków, który występuje jako nieunikniona konieczność, posuwa się ona aż do komizmu, aż do głupowatego łapania w worek wiatru, który dęby wyrywa z korzeniem. Może taka metoda zwłoki dała kiedyś dobre rezultaty, niewątpliwie jednak w wielu wypadkach, jeżeli nie stwarza poważnych niebezpieczeństw, to co najmniej staje się śmieszną.

Próbkę humorystyki dostarczył nam znowu parlament angielski w sprawie Bradlaugha. W jednym z zeszłorocznych numerów (18) *Prawdy* skreśliliśmy sylwetkę tego niezmordowanego karciciela nadużyć i zapaśnika swobód, którego żadne kary i pogróżki nie zdołały dotąd zniechęcić do walki. Jak wiadomo, z pola dziennikarskiego udało mu się wejść do Izby niższej, z której za rozmaite protesty przeciwko regulaminowi był kilkakrotnie przez żandarmów gwałtem wyciągany. Najgłówniejszym punktem jego opozycyi jest sprawa przysięgi. Nie należąc do żadnego wyznania, nie chce on jej składać w brzmieniu religijnem i domaga się tolerancyi dla każdego nawet pod tym względem. Długi proces nieugiętego buntownika z parlamentem miał ten skutek, że Gladstone przedstawił Izbie odpowiedni bil, który ona — odrzuciła. Z ust kochanków zwłoki zabrzmiała znowu stara piosenka: „zawcześnie kwiatku, zawcześnie!“ Bil ten upadnie jeszcze dziesięć — dwadzieścia — może sto razy, ale kiedyś niewątpliwie będzie przyjętym, gdy się dostatecznie „jak figa odcukruje, jak tytoń odleży.“ Tymczasem przepadł. Pomijając skutki tej przegranej, zastanówmy się nad słusznością żądania Bradlaugha.

Jeżeli państwo odmawia bezwyznaniowcom prawa jawnego bytu i wszystkich swoich poddanych zmusza do wykonywania aktów publicznych, ujętych w formę religijną, może działać surowo, ale jest konsekwentnem. Ono bowiem zna, a przynajmniej uznaje tylko obywateli, należących do takiego lub innego kościoła, ateuszom zaś odmawia praw i w potrzebie wyrzuca ich ze swego łona. To — logiczne. Ale jeżeli państwo ogłasza bezwzględną tolerancyę w sferze sumienia, jeśli swym poddanym dozwala urzędownie zapisywać się w kategoryi bezwyznaniowców a obok tego zmusza ich do przysiąg religijnych, popełnia gwałt i dopuszcza się zniewagi. Ów Bradlaugh nie jest cierpianym w kraju wyrzutkiem, ale równouprawnionym z innymi obywatelem; jeżeli przeto wyborcy posyłają go do Izby, jaką ona posiada moc narzucania mu wiary? Moc ustawy, zobowiązującą członka parlamentu do złożenia przysięgi religijnej? Ale dlaczegóż ludziom bezreligijnym wolno być obywatelami? Jedna z dwu przeciwnych sobie zasad musi ustąpić: albo prawo konstytucyi, ubezpieczające swobodę sumienia, albo regulamin parlamentarny. Obie bez ciągłej

---

6)

Burza w zaciszu

przez

Swetozara Hurbana.

Nieszczęsna dziewczyna pozostała sama. „Boże mój, boże!“ łkała rozpaczliwie. O jakże jej obrzydły te pańskie suknie i cały ten pański żywot! I Herma wydała jej się wcieleniem złości. Mimowoli przypomniała sobie scenę w altance i nagle poczuła się grzesznicą, nikczemną. Przypomniała sobie pogróżkę Olszy! Mróz jej przebiegł po kościach! Co robić? Milczeć? A tu dwór Orzechowańskich stanie w płomieniach, Janka zaś pochwycą jako podpalacza!

W boleści podniosła się i poszła do ojca. Starzec siedział przy stole i pisał. Był kronikarzem wioski. Każdy wypadek, liczba urodzonych, umarłych, zmiany pogody i zjawiska niebieskie — wszystko to dokładnie notował w oprawnej księdze. Litery, jakich używał w pisaniu, podobne były do drukowanego, starego szwabachu.

Drzwi jego chaty nagle się otworzyły. Adam zdjął okulary i spojrzał. Weszła córka, ale nie rozradowana i kwitnąca, jak kiedyś, lecz złamana, nieszczęśliwa, spłakana.

Starzec ani się ruszył z miejsca i chciał pisać dalej. Marysia objęła go za szyję, gwałtowny płacz a raczej krzyki rozlegały się po izbie. Adam powoli odsunął córkę.

— Cóż cię sprowadza tutaj do nędznego starca, Marysiu?

Głos jego był miękki, a jednakże przez tę dziwną miękkość przebijało uczucie bólu.

Szybkiemi, przerywanemi słowy opisała Marysia scenę w parku.

— Pomóż tatuniu, pomóż! On podpali dwór Orzechowańskich, on ich przebije nożem! Jego zabiją; o ja nieszczęśliwe stworzenie!

Milcząc, słuchał starzec skarg i bolesnych narzekań córki.

— A powiedziałaś o tem wielmożnemu panu?

Po przeczącej odpowiedzi Marysi, Bohunka zamilkł. Zamknął księgę, westchnął, a wreszcie rzekł:

— Mój rozum nie sięga po za płot pańskiego parku! Opuściłaś mieszkanie swego ojca. W niem byłby cię on obronił od wszelkiego napadu. Dlaczego cię nie ustrzegł Orzechowański? Dla czegoż nie uciekasz pod skrzydła jego opieki?

— Ojcze, pomóż, nikt mię już nie wyciągnie z tego domu!

Adam Bohunka posłał po pana rechtora. Mraz przyszedł i uląkł się, zobaczywszy Marysię. Jego domyślnemu spojrzeniu odkrył się cały stan uczennicy. Mimowoli robił porównanie między losem jej a swoim. Oboje mieli wiele wspólnego, chociaż różnili się w wielu punktach. Różnica polegała na tem, że jego dusza przeszła już ogień namiętności, choć może dogasającej.

Marysia wyszła do komory. Długo naradzali się starsi, co właściwie począć. Pan nauczyciel nie brał na seryo pogróżki Olszy; „czas pokaże, jak trzeba walczyć!“ Ach, a jemu tego nawet czas nie pokazał.

Marysia powróciła z komory... taką, jaką była dawniej. Pańskie suknie znikły—mała chusteczka znów bielała na ramionach. Twarz jej rozjaśniła się, postać wyprostowała.

Nauczyciel ucieszył się w duchu ze zdrowego rozsądku dziewczyny. W tej nagłej zmianie stanu nie widział on pożytku.

— Nie będę żadną panną — rzekła Marysia, obejmując ojca za szyję — choćby mi kto i trzy wsie darował! Zostanę Marysią!

W słowach dziewczyny dźwięczała stanowczość. Stary Bohunka pokiwał głową, na ustach osiadł mu jakiś dobrotliwy uśmiech.

Nagle drzwi się otwarły—wszedł Janko Olsza. Zdumiony stanął u progu... Z twarzy jego zniknął cień; pozostał na niej tylko wyraz radosnego podziwu.

— Marysiu — zawołał i usiadł na ławie pod piecem. Marysia podbiegła i wzięła go za rękę.

— Nie tak, nie tak, nie tak — wmieszał się Bohunka — do nas nie wchodzi się oknem, tylko drzwiami.

Młodzi padli sobie w objęcia.

— Ten wybuch burzy przechodzi szczęśliwie — pomyślał Mraz, widząc jak się

między sobą kłótni istnieć nie mogą. To też Gladstone, który przecież ateistą nie jest, dla usunięcia sprzeczności, mając do wyboru: ścieśnienie ulicy lub rozszerzenie wozu, oświadczył się za ostatniem. Nie poparli go zatwardziali stróże „dawnego dobrego obyczaju“ i pozostawili otworem pole dalszej walki, która mogłaby bardzo pięknie ozdobić karty dziejów średniowiecznych, ale na dzisiejsze czasy jest już znacznie spóźnioną. Bo nawet nic na niej nie wygrywa religia. W parlamencie angielskim jest wielu Bradlaughów, którzy uginają się i składają przysięgę — co ona warta? Co warte mechanicznie wymówione słowa, które nie są oddźwiękiem struny w duszy napiętej? Zgwałceni, w potrzebie, równie przysięgliby na fetysza lub gwiazdę, gdyby ich do tego zmuszono. Zamiast więc wiary, szerzy się tylko obłuda, dwulicowość, która chyba umoralniającego wpływu nie wywiera. Skoro to zrozumiała nawet sfanatyzowana Hiszpania, widocznie nie tak trudno pojąć wymaganie czasu, którego pochód anglicy tak zawzięcie usiłują powstrzymać.

Ale Bradlaugh ich popędzi. Człowiek to strasznej, niczem niezwyciężonej energii. Zdaje się, jak gdyby upór kilkuset przeciwników zlał się w jedną jego pierś. Sto razy wyrzucony z Izby, sto razy do niej powróci, nie odejmując równocześnie ani na chwilę ręki od najrozmaitszych sprężyn agitacyi, które przeciw gwałtowi w ruch wprawia. Z nadzwyczajną umiejętnością wyzyskuje on kłótnię zasady konstytucyjnej z parlamentarną i nie pozostawia spokoju stróżom „dawnego dobrego obyczaju,“ którym grunt pod nogami niemiłosiernie się uszczupla. Zawichrzy on im jeszcze niejedno posiedzenie, a jeżeli sam nie zwycięży, następcom swoim tryumf znacznie ułatwi.

WSTĘP DO REFORMY.

Socyologowie nowocześni zwykle dochodzą do wniosku, że państwo winno nieść obywatelom pomoc w osiąganiu ich celów i brać na siebie urzeczywistnienie tych zadań, których nie mogą spełnić siły jednostkowe lub które ono może spełnić lepiej. Formuła ta, na pierwszy rzut oka, zdaje się być pewnikiem, niepotrzebującym dowodu; tymczasem bardzo słabą jej stronę stanowi przypuszczenie, że interesy wszystkich obywateli, a nawet wszystkich warstw społecznych są jednakowe. W takim razie dążności rządzących i rządzonych byłyby zawsze równoległe a zasada powyższa, wymagająca współdziałania harmonijnego rządu i społeczeństwa znalazłaby urzeczywistnienie. Rozwój jednak dziejowy Europy zachodniej w obecnem stuleciu dąży bardzo powoli do tego ideału. Rządy narodów cywilizowanych, w miarę swych sił i środków, starają się popierać dobrobyt i bogactwo społeczne. Nauki i sztuki są otoczone troskliwą opieką; wynalazki pracują nad pomyślnością ogólną; para i elektryczność wyścigają się w ułatwieniu stosunków i do niesłychanej miary potęgują wytwórczość pracy ludzkiej i rozwój kredytu. Zdawałoby się, że w obec takiego tryumfu człowieka nad przyrodą, do którego tak znacznie przyczyniło się państwo przez popieranie wiedzy i dobrobytu, powinnyby zamilknąć stare swary pomiędzy rządem i różnemi warstwami społecznemi. Tymczasem nie ustają tam nietylko wielkie boje rewolucyjne całych narodów o wolność, ale zarazem wszędzie niemal wre walka gorąca pomiędzy warstwami społecznemi, upośledzonemi i uprzywilejowanemi. Antagonizm klas wydziedziczonych i posiadających nie zamarł bynajmniej.

Jak dawniej potulny mieszczanin patrzył zazdrośnie na przywileje i korzyści, które sobie przywłaszczała szlachta i duchowieństwo — tak dziś proletaryat spogląda zawistnie i złowrogo na wszelkie prawa, zapewniające przewagę zbogaconemu mieszczaństwu, wielkiej własności i wielkiemu przemysłowi. Rządy znajdują się obecnie w położeniu nierównie trudniejszem, niż dawniej. Zgadzając się na zniesienie przywilejów szlachty i duchowieństwa, utraciły one poparcie tych żywiołów.

W takim położeniu rzeczy polityncy społeczni zalecają rządom, aby wzorem monarchij starożytnych opierały się: albo na duchowieństwie i szlachcie, albo na mieszczaństwie bogatem, albo wreszcie na ludzie, oddając mu przez uwłaszczenie środki produkcyi a nawet regulując całą organizacyę pracy. Każda jednak z tych dróg nie jest ani prostą, ani łatwą.

W Niemczech, gdy Bismark zamierzył złamać potęgę bogatego mieszczaństwa, odpowiedziało mu ono odmową zatwierdzenia reform finansowo-ekonomicznych, a robotnicy, których chciał przytulić pod swe skrzydła — nieufnością. We Francyi po próbach oportunistów oparcia się również na mieszczaństwie, z pominięciem interesów proletaryatu, spadły bomby dynamitowe i zwaliły się krzyże. Poparcie, udzielone tradycyom feodalnym w Hiszpanii, wywołuje protest grożnych zaburzeń związku „Czarnej ręki.“ W Anglii irlandczycy morderstwami i wybuchem westminsterskim odpowiadają na reformę rolną Gladstone'a, mającą na celu pogodzić interesy kapitału i pracy. W Austryi wzrastający ruch socyalistyczny i wielkie bezrobocia wywołują konieczność reformy obowiązującej ustawy i stosunków przemysłowych.

Dokonane tam badanie przez komisyę przemysłową parlamentu i biegłych, wybranych z pośród fabrykantów i robotników, dało przynajmniej możność przedstawicielom klas pracujących wypowiedzenia swych skarg i życzeń. Narady owego zgromadzenia odbywały się od 31 kwietnia do 9 maja i dały dość bogaty materyał, gdyby tylko zeń szczerze skorzystano w sprawie robotników. Wysłuchanie ich bezpośrednio było rzeczywiście konieczne tam, gdzie należało poprawić tę część ustawy, która określa stosunki i warunki pracy rękodzielniczej. Powołani do głosu deputaci robotników, przeważnie ze stronnictwa socyalno - demokratycznego, mieli rzadko zdarzającą się sposobność swobodnego wypowiedzenia swych żalów. Jeżeli zaś ton mów przez nich wygłoszonych był

---

w rodzinie starego zakrystyana ustala naruszona harmonia.

W domu Orzechowańskich zapanował niepokój i rozdwojenie. Stary nie umiał sobie dać rady, gdy Marysia oświadczyła stanowczo, że już do dworu nie powróci. Aureli posyłał sługi do Bohunków.

W końcu przyszedł sam. Czarny chleb mu smakował, a nawet słowacczyzna szła gładko! Bohunka powitał go delikatnym sarkazmem; zachowywał się wprawdzie względem niego spokojnie, wszelako z całą świadomością swych praw domowych. Marysia potrafiła zawsze umknąć z chaty, gdy się panicz zbliżał.

Pani Orzechowańska płonęła od gniewu i złości. Ile kosztowało ją przyjęcie wychowanicy narzuconej przez okoliczności, a teraz ona sama ucieka od rzadkiego szczęścia przebywania w domu tak wysokim! Plotki wraz z szyderstwami nad pomnożeniem się „pokolenia baronów“ krążyły po okolicy, a owoc tego zaparcia siebie miał być utraconym stosownie do brzmienia ostatniej woli. Zapis mówił wyraźnie, że w razie, gdyby warunki postawione przez testatora nie zostały spełnione z jednej lub drugiej strony, cały majątek ma przejść w posiadanie szpitala.

Karol chodził po pokoju silnie wzruszony. Jego żona siedziała przy oknie i uśmiechała się nerwowo. Był to gorzki uśmiech.

— Ktoby się był spodziewał po tej głupiej chłopce! Nie chce w żaden sposób wrócić do nas, gęś jadowita!.. Na nic wszystkie nasze rachuby. Pełnomocnik szpitala patrzy na nas jak kania — dziwi mię, że dotychczas jeszcze nie wdał się w tę sprawę!

— Czyż nie jesteś panem w gminie? Nie możesz przymusić dziewki, aby przyszła i spełniła wolę nieboszczyka? Kazałabym ją przypędzić kijami; pod strażą strzelb pandurskich musiałaby niewdzięcznica przywlec się dworu!

— A stary Bohunka? Luizo, on już nie jest naszym poddanym, te czasy dawno przepadły!

— Przepadły i my z nimi przepadamy. Gawiedź wiejska zadziera głowy do góry, a nawet synów oddaje do szkół, aby zabierali urzędy i chleb naszym dzieciom. Świat wali się, a zostaje tylko swawola i zniewaga wyższych stanów! I jeszcze tacy waryaci, jak twój brat, podniecają tę zbieraninę, jeszcze jej ciskają pod nogi majątki... majątki należące do nas i do naszych dzieci!

Karol był przybity. Straszne bankructwo wisiało nad jego głową... Czego nie pochłonęły kaprysy madziaryzatorskie, to wyssały pijawki żydowskie.

— Pozostała nam jeszcze jedna nadzieja, Luizo!

— No, jaka?

— Aureli musi się ożenić z Marysią!

Głos jego brzmiał głucho, słabo, lecz stanowczo. Widać było, że myśl ta dawno w nim powstała, ale nie śmiał jej wypowiedzieć przed wysoko urodzoną małżonką.

Luiza zatrzęsła się cała, jak wierzba pod uderzeniem siekiery... Jej syn i wiejska dziewka — jakiż to straszny mezalians! Chusteczka, obszyta koronkami, z siedmiopałkową koroną w rogu, piła gorzkie łzy matki, która Aurelego kochała nad wszystko.

Orzechowański, wielki nieprzyjaciel łez, stanął na środku pokoju, zawinął się w szlafrok, wysunął naprzód piersi i zawołał z gniewem:

— A więc chcesz, żeby cię Icek Pejseles wyrzucił z domu? Będzież to bardziej *noble* i stosowniej, gdy po tym pokoju łazić będzie żydówka w brudnej spódnicy?

Myśl ta jednak dla Luizy Orzechowańskiej była przerażającą. Do stanu podobnego przyjdą z czasem wszystkie nasze rodziny ziemiańskie, co się zaparły ludu. Żyd, albo wieśniak; albo zbliżenie się do tego ludu, z którego wyszły a który nazywają wiejskim, albo zapanowanie plemienia żydowskiego na spuściźnie pradziadów. Oderwanie się od narodu natworzyło z nich sług tam, gdzie byli panami i bardzo ważnym czynnikiem. Stare imiona giną a na ich miejsce wchodzą *baumowie*, *steinowie* i *thalowie* z wszelkiego rodzaju przymiotnikami. Inaczej być nie może!

Aureli został powołany do ściślejszej rady. Rodzice spodziewali się oporu tam, gdzie go nie było, mianowicie u syna — on natomiast opowiedział swe bezskuteczne zamachy na piękność wiejską. Luizę zasmuciło tak łatwe przyzwolenie syna, ale też odrzucenie tak świetnej propozy-

nieco szorstki i drażliwy, przyczyna tkwi w słabem ukształceniu parlamentarnem robotników austryackich.

Realne dane, złożone przez nich komisyi przemysłowej, nie przypadły właściwie do smaku ani lewicy, ani tem mniej prawicy. Przy tego rodzaju śledztwie nie mogło być mowy o systematycznym porządku w rozbiorze przedmiotu, o ogarnięciu całości obrazu stanu i położenia ludności roboczej; mimo to jednak skargi wygłoszone odsłoniły wiele ważnych punktów.

Przedewszystkiem uskarżali się robotnicy wogóle na przeciążającą ich pracę dzienną (15 do 17 godzin) i żądali sprowadzenia normalnego dnia roboczego do 8 najwyżej 10 godzin. Następnie zwrócili uwagę na biedny stan robotników pojedynczych gałęzi przemysłu. Skonstatowali dalej, że najlepszym stosunkowo jest los pracujących w małych fabrykach wiedeńskich, najgorszym w wielkich.

Co do pracy dzieci i kobiet wykazali również nader smutny stan rzeczy, zwłaszcza w zakładach czeskich i morawskich. W tej kategoryi reforma jest najbardziej naglącą, a zwłaszcza przestrzeganie ścisłe odpoczynku w niedzielę.

Biegli z obozu fabrykantów i przedsiębiorców nie podzielali naturalnie tych poglądów w całej rozciągłości. Jakkolwiek uznają oni w zasadzie potrzebę ulepszeń, o tak „radykalnych“ jednak środkach nawet słyszeć nie chcą. Rzecznicy kapitalizmu występowali głównie przeciwko ustanawianiu normalnego dnia roboczego, co nazywali ścieśnianiem pracy, owego jedynego „kapitału“ robotników. Niemniej gorąco odpierali zarzuty na nadużywanie rąk dzieci, kobiet i w niedzielę. Charakterystycznem jest, że ultramontanin hr. Harrach, jeden z socyalno-chrześciańskich zbawców społeczeństwa, jako właściciel wielkiej huty szklannej, oświadczył się wyraźnie przeciwko świętowaniu dla tego, „że przecież w hucie wtedy trzeba robić, gdy są obstalunki.“ Niektórzy znowu filantropowie uznawali za najzupełniej słuszne ograniczenia w pracy dzieci i kobiet, ustanowienie normalnego dnia roboczego i przestrzeganie odpoczynku w niedzielę, pod tym jednak małym warunkiem, aby wszystkie te reformy... nie były wprowadzane do ich gałęzi przemysłu, czyli innemi słowy, aby sobie figurowały na papierze, na pociechę chrześciańskich serc reformatorów Austryi. W tym względzie akompaniowali im nawet posłowie wiedeńskiej Izby.

Ostatecznie cała „ankieta“ okazała wybitnie, że opłakane położenie klas roboczych w Austryi wymaga niezbędnie głębokich reform i poprawy, a dobrą stroną narady było to, że robotnicy, biorący w niej udział, mogli swobodnie wypowiedzieć swe skargi i życzenia, jakkolwiek przeciw głosom ich występowali zaraz gorąco kapitaliści w obronie własnej kieszeni. Rząd zaś i ludy Austryi dowiedziały się, że obok sporów narodowościowych są niemniej ważne sprawy do załatwienia—sprawy milionów ludności biednej, obdartej, głodnej i — co jest może najbardziej przekonywającem — licznej.

S. C.

UKRYTY WRÓG.

Pomimo niezaprzeczonych usług, jakie nauka hygieny oddała społeczeństwu nowoczesnemu, jedno z najważniejszych źródeł szerzących i ogniskujących pierwiastki chorobne dotychczas przez nią zupełnie nie zostało uwzględnionem. Źródłem tem są puste miejsca, znajdujące się w domach mieszkalnych pomiędzy sufitem dolnego, a podłogą bezpośrednio nad niem leżącego piętra górnego, najpowszechniej, w celu osłabienia przewodnictwa głosu z jednej i nieprzepuszczania ciepła z drugiej strony, wypełniane gruzem lub piaskiem. W wyborze tych materyałów niepojęta jakaś panuje nieprzezorność i bezmyślność, tak, że większa część ich bądź od samego początku już zawiera niezliczone zarody bakteryj, bądź też najodpowiedniejszą jest do wytwarzania ich i rozmnażania. W obu razach tworzy się grunt najprzyjaźniejszy dla rozmaitych chorób zaraźliwych.

Pierwszym, który na ten przedmiot zwrócił uwagę, jest uczony lipski dr. R. Emmerich; wskazówki zaś przez niego w tym przedmiocie podane*) tak są ciekawe, tak wprost i do naszych stosunków pasujące, że niewątpliwie zajmą one czytelników.

Ażeby przekonać się o prawdziwości głównego założenia Emmericha, dosyć rzucić okiem na zawartość owych miejsc międzysufitowych, zawartość, którą autor badał makroskopijnie i mikroskopijnie, niemniej przy pomocy ilościowej analizy chemicznej: kwasorodu, soli kuchennej, amoniaku. Tak np. główny korpus nowego domu dla obłąkanych w Lipsku na 6197 metrów kwadratowych powierzchni mieści we wszystkich piętrach 887 metrów sześciennych owego materyału wypełniającego, podczas gdy w nowo wzniesionym tamże gmachu pocztowym na powierzchnię z 4993 metrów kwadratowych przypada 1236 metrów sześciennych. Szczegółowe poszukiwania w wielu budynkach dokonane doprowadziły do rezultatów, które zgrozą przejmują serce każdego przyjaciela zdrowia i dobrobytu społecznego. W dwu nowych domach w Lipsku przesyp składał się z popiołu i piasku nieczystego, zmieszanego z najrozmaitszymi odpadkami: szmatami gnijącemi, słomą zepsutą, drzewem, papierem, obierzynami, resztkami jarzyn, włosami, kawałkami kości, kałem ludzkim i zwierzęcym itd. Ilość zawartych w zbiorniku podobnym substancyj organicznych, podług najściślejszych obliczeń Emmericha, była tak wielką, jak gdyby *bezpośrednio pod podłogą domu pogrzebano 3000 trupów ludzkich!* Nie ulega też wątpliwości, że w większej części badanych wypadków materyał, do wypełniania miejsc międzysufitowych użyty, wzięty był ze śmietnisk miejskich, brak zaś nieznośnego odoru w pokojach bezpośrednio ponad nim położonych, tem się tłomaczy, że pierwiastki ziemne pochłaniają wywiązujące się gazy rozkładowe, nie usuwając atoli bynajmniej wynikających stąd niebezpieczeństw dla zdrowia i życia mieszkańców.

Tego rodzaju zanieczyszczenia domów wcale do wyjątków nie należą, już z tej

*) *Die Verunreinigung der Zwischendecken unserer Wohnungen in ihren Beziehungen zu den Infections-krankheiten* (w czasopiśmie Petterkofera i Vaita, tom XVIII, zeszyt 2).

---

cyi przez Marysię wzburzyło ją niezmiernie.

— A czy wytłomaczyłeś jej, że pozostanie biedną dziewką, jeśli nie spełni warunków testamentu?

— Wyjaśniłem wszystko dokładnie i staremu i córce. Ten stary czarownik bawi się w proroka, w Diogenesa wiejskiego! Nie zasłaniaj mi pan słońca, powtarza ciągle. On zadowolony jest z zapisu, przeznaczonego przez stryja, a wsparcie, jakie ten mu posyłał, złożone w kasie oszczędności, wystarczy podobno na posag!

— Niepodobna, niepodobna!

Nadchodził czas, w którym się miało rozstrzygnąć, do kogo będzie należał majątek albo jego zarząd. Cały dom Orzechowańskich rzucał się jak łódź miotana burzą. Jedna tylko przystań widniała w dali; jeżeli Aureli do niej nie dopłynie—to strzaskanie łodzi nieuniknione!

Jasna, mroźna zima zapanowała w okolicy.

Maciej Mraz*), który już z nazwiska swego miał w niej przyjaciółkę, wyzdrowiał zupełnie. Zmarszczki poznikały z czoła, zajęcie w szkole dobrze oddziaływało na duch potargany. A im bardziej wzrastała czerstwość ciała, tem żywiej występowały w umyśle jego błogie jakieś postacie.

Tonący i źdźbła się chwyta! Orzechowański w położeniu swem bez nadziei zwrócił się do Mraza. Nędza zmusza dumę do pokory. Nastąpiło szczere wyznanie.

— Pan jesteś człowiekiem wpływowym, pana słuchają w wiosce! Proszę, abyś dla nas coś uczynił! Mam dzieci! Synowie dadzą sobie radę w świecie, lecz córka... córka! Co się stanie z moją Hermą?

Serce zadrżało w piersiach nauczyciela. Czuł się jakby bardziej zbliżonym do tej istoty, po wysłuchaniu wyznania Karola o zupełnej niemożności wyjścia z rozpaczliwego położenia. Potrzeba przysuwa ludzi ku sobie a najstaranniejsza forma bezsilności i nędzy: śmierć równa wszystkich!

— Proszę pana, skłoń starego Bohunkę, wyjaśnij rzecz jego córce! Ona dla nas będzie zawsze aniołem, dobrodziejką, ona wniesie do naszego domu to, czego nas pozbawił dziwaczny kaprys mego brata. Czyż to nie jest rzeczą sprawiedliwą i naturalną? A cóż przyjdzie staremu słudze z jego uporu? Majątek zostanie własnością szpitala w Peszcie! Zobopólny interes wiąże nas wzajemnie. Zapomnieliśmy o naszym stanowisku w świecie, o rodzinie, stłumiliśmy w sobie pychę, nasz grzech dziedziczny! Zapomniałem o moim patryotyzmie, o uczuciach madziarskich! Czyż wszystkie te ofiary nic nie znaczą?

Maciej Mraz opuścił głowę na piersi i pogrążył się w głębokiem zamyśleniu. Cała jego nieskażona, moralna natura wołała: nie! wy ludzie pyszni, odstępcy, gnębicie lud, prześladujecie go, gardzicie jego mową! Całe straszne męczeństwo narodu słowackiego zarysowało się w jego wyobraźni potężnie i barwisto.

Drzwi przyległego pokoju otworzyły się: z za portyery ukazała się twarz Hermy. Nie zwabiła jej tu tylko sama ciekawość. Widziała nauczyciela, idącego do ojca. Serce w niej silnie zabiło i kurczowo się ścisnęło. Jakaś siła tajemnicza, jakaś obawa zmusiła ją wejść otwarcie do pokoju. Ostatnie słowa ojca zatrzymały ją we drzwiach.

Nauczyciel wstał z krzesła, wyprostował się, oko jego płonęło męskim ogniem. Gorący żar młodości ożył w jego piersi ściśnionej, dzielność młodzieńcza pobudziła krew w żyłach.

— Wielkie zaufanie pańskie, wielmożny panie, pochlebia mi; dziękuję za pańską dobroć i przychylność. Zapewne jednak zbyt czarno widzisz pan swe położenie. Wszelako to do mnie nie należy. Uznałeś pan za stosowne wezwać mię na pomoc w kłopotach i dla załatwienia interesów z Bohunkami. Na to wezwanie mogę dać tylko jedną odpowiedź, że nic uczynić nie mogę!

— Pan nie możesz? nie chcesz! — zawołał Karol, krzyżując ręce na piersiach.

— Przecież ja nie władam osobami, ani nie rozporządzam ich sercem, ich wolą. Gdyby jednak leżało w mej mocy wydać panu w tej chwili Marysię, to jabym tego i tak nie uczynił!

Głos Mraza brzmiał silnie, dźwięcznie.

Orzechowański usiadł na krześle i wytrzeszczył bure oczy na skromnego rechtora, który nagle zaczął przed nim rosnąć tak, że cała jego wielmożność znikła.

— Małżeństwo jest wielką, świętą instytucyą moralną, której nie wolno nadu-

*) *Mraz* po polsku — mróz.

prostej przyczyny, iż i chęć zysku niepomierną tu gra rolę, gdyż, jak dowiódł Emmerich, przedsiębiorca budowlany, który zamiast stosunkowo kosztownego czystego piasku lub miału węglowego, użyje na ten cel śmieci, dawanych bezpłatnie, na średnich rozmiarów budowli z łatwością zaoszczędzić może 3000 marek pruskich. Przypuściwszy jednak, że spekulacye podobne zdarzają się najrzadziej i że materyał, zgodnie ze wskazówkami najlepszych podręczników techniki budowlanej, składa się zawsze z gruzu starych domów, to i takiego postępowania ze stanowiska hygieny chwalić nie można. „Niepodobna— mówi autor — obmyśleć lepszego sposobu na przenoszenie nieczystości z mieszkań i przeszczepianie zarodów chorobnych z po kolenia na pokolenie.“

Ale gdyby nawet przeszczepianiu temu jakąkolwiek drogą zapobiedz było można, nigdy nie znajdziemy rady na to, aby zawieszone w powietrzu mieszkań organiczne pyłki kurzu przez szpary w podłogach nie przenikały do pustych miejsc międzysufitowych i nie zanieczyszczały ich, nie zaradzimy przesiąkaniu do tych miejsc wilgoci, a głównie wody używanej do szorowania. Kurz znów i wilgoć, łącząc się z gruzem lub piaskiem, wywołują przeróżne procesy gnicia i rozkładu, oraz znakomite podniesienie temperatury (32° Cels.), niezwykle sprzyjające powstawaniu i rozwojowi szkodliwych dla zdrowia ludzkiego bakteryj, które są bezpośrednią przyczyną suchot płucnych, tyfusów itp.

Na zasadzie badań, z niesłychaną pracowitością w tym kierunku prowadzonych, Emmerich dochodzi do wniosku, że puste przestrzenie między sufitami a podłogami w mieszkaniach równie hygieniczne mają znaczenie, jak doły kloaczne, że jedne, jak i drugie zieją jadem i zarazą, których usunięcie i zniweczenie powinno być zadaniem postępowej umiejętności budowniczej i policyi sanitarnej. Dla tego najlepiej by było taką wynaleść konstrukcyę, przy której puste przestrzenie całkiem stałyby się zbytecznemi, lub też zapełniać je materyałem niedostępnym gromadzeniu się szkodliwych substancyj organicznych.

Praca Emmericha i jej wyniki obudziły za granicą żywe zajęcie. Oby i u nas, uszczęśliwianych w podobny sposób, ostrzeżenie to znalazło odgłos. *C.*

SPROWADZONY POSEŁ.

Po zaciętej walce wyborczej w okręgu miejskim Buczacz-Kołomyja-Śniatyn otrzymał znaczną większością głosów mandat poselski rabin z Florisdorfu pod Wiedniem — Bloch. Nie pomogły więc ani nawoływania prasy, ani gorąca agitacya postępowych żywiołów żydowskich, przeciwstawiających Blochowi kandydaturę dra Warszauera — ciemna, fanatyczna masa, wysuwająca na pierwszy plan kwestyę prawowierności swego wybrańca ustąpić nie chciała. Nie będziemy szczegółowo badali pośrednich przyczyn tego wypadku — bezwątpienia wpłynęła na to wadliwość ustawy wyborczej, wytwarzającej sztucznie przewagę żywiołów miejskich i rozterki między kilkoma przeciwnymi Blochowi kandydatami — niemniej wszakże pozostanie faktem, że znaczna większość wyborców żydowskich świadomie, na przekór opinii publicznej, powołała na swego przedstawiciela człowieka, nieobeznanego wcale ze stosunkami miejscowymi, nieumiejącego ani słowa po polsku. Nie pierwszy to zresztą wypadek tego rodzaju. Przed 10 laty okręgi małomiejskie w Galicyi były mętnemi sadzawkami, w które najbardziej nawet osławiony i splugawiony z gründerów wiedeńskich mógł zarzucić wędkę i wyłowić mandat poselski. W ostatnich jednak czasach zauważyć można było zmianę na lepsze; dopiero w tym roku fanatyzm mas żydowskich na nowo podniósł głowę. Klątwa, rzucona przez rabinów na dra Zuckera, wybór na posadę rabina krakowskiego cudotwórcy Kornickera, świeży nakoniec tryumf Blocha świadczą dowodnie, że tylko pod wpływem strachu, wywołanego antysemickimi rozruchami, żydzi galicyjscy odegrali komedyę zbliżenia się do żywiołów krajowych. Strach przeszedł, antysemicka burza zmieniła się w śmieszną i nikomu chwilowo nie groźną hecę — a więc precz z maską, wszystko powraca do dawnego stanu!... Fanatyzm tłumu, przez lat kilka uśpiony i ujęty w karby, rozhulał się i posunął do wstrętnych wybryków, kilkuset żydód w nocy napadło na zajazd, w którym mieszkał główny agent jednego z kandydatów (br. Romaszkana), znieważyło go czynnie i zmusiło do opuszczenia miasta.

Smutny ten fakt przekonać powinien postępowych, obywatelsko usposobionych izraelitów, że droga, którą wybrali, droga ustępstw i zalotów, jest błędną i nie prowadzi do celu a przynajmniej opóźnia do nieskończoności reformę. Ciemna masa nie poczuwa się do obowiązków obywatelskich, po za interesami wyznania i gminy nikogo i niczego znać nie chce. Żydzi galicyjscy korzystają w zupełności z praw ogólnych a zarazem posiadają wiele przywilejów (np. zupełny prawie samorząd w sprawach religijnych i szkolnych). Najzagorzalszemu z ultramontanów nie przyszłoby do głowy powołać na probostwo w Galicyi księdza z Tyrolu lub Czech, i nikt by mu na to nie pozwolił; lecz żydzi krakowscy mogą sprowadzić sobie cadyka z Pesztu, z Wiednia, bodaj nawet z innego państwa. Pojmujemy, że w krajach, gdzie izraelici dotychczas jeszcze nie pozyskali praw obywatelstwa, autonomia gmin i kahałów ma pewną racyę bytu i nie stoi w sprzeczności z prawami państwa, wyodrębniającemi żydów w osobną całość. Instytucye te są dla nich jedyną prawie obroną od poniewierki i ucisku tam, gdzie prawa ogólne traktują ich po macoszemu. Ale inaczej rzecz się ma w Austryi. Raz wreszcie trzeba złamać tę średniowieczną samodzielność gmin żydowskich, sprawy religijne uporządkować i poddać pod ścisłą kontrolę państwa, jak to uczyniono ze sprawami innych wyznań. Nie naszą jest rzeczą wskazywać szczegółowo odpowiednie środki, jeżeli zaś kiedykolwiek uregulowanie spraw religijnych ludności żydowskiej u nas wejdzie na porządek dzienny, chcielibyśmy, ażeby za wzór dla reformy posłużyła Francya. Ale najważniejszą, niecierpiącą zwłoki sprawą jest wprowadzenie przynajmniej do miast przymusowego wykształcenia w szkołach wspólnych (istniejącego nominalnie w Galicyi) i ściśle przestrzeganie przepisów tej powinności a za-

---

żywać dla intryg i celów postronnych — ciągnął dalej Mraz. Ale odsunąwszy na bok tak ważne względy, jak pan sobie przedstawiasz małżeństwo swego syna z Marysią, gdyby się udało doprowadzić je do skutku? Nie ma tu ani cienia równości. Ona wybrała już za przyzwoleniem swego ojca narzeczonego, znanego panu Janka Olszę i postąpiła rozumnie. Zrzekła się majątku z lekkiem sercem, bo ma zdrową duszę i uczucie prawdziwe. O jakżeż zawstydziła pana ta prosta, słowacka dziewczyna! A teraz, panie Orzechowański, jeszcze jedno słowo, które mi dawno leżało na sercu. Jakie uczucie żywisz pan dla tego ludu, z którego chcesz mieć dziewczynę dla swego syna? Czy pamiętasz pan ten niegodny, obrażający dowcip z osłem i chłopcem słowackim? Albo czyś pan zapomniał o tem morzu nienawiści, wrzącej przez dziesiątki lat w tych murach, wśród których się pańscy przodkowie po słowacku modlili? Straszną, okrutną lekcyę udzielił panu brat, który znał pana i który był wprawdzie cichym, lecz gorącym przyjacielem ludu słowackiego! Na Boga, jakże to tragiczna nauka! A przecież przychodzi zapóźno... Między nami a panem leży wielka przepaść; pan wraz ze swą rodziną czynicie ją codzień głębszą. Pomiędzy nami jest taka różnica, jak między miłością a nienawiścią, jak między miłosierdziem i okrucieństwem. Jak można wzywać na pomoc kogokolwiek z naszych? A wreszcie, powiedzmy z ręką na sercu, czyżby Marysia nie była tylko ofiarą waszych rodzinnych interesów i nietylko ona, lecz także syn pański? Po krótkiem upojeniu nastąpiłoby straszne wytrzeźwienie! Ona by się nigdy nie wżyła w wasze stosunki; na każdym kroku przypominałaby mężowi swój stan, swe pochodzenie. Ach, jakże się pan boisz choćby najlżejszego napomknienia o swojem pochodzeniu? Całe życie pańskie jest nieustannem jego skrywaniem, a pan chcesz mieć w domu taki budzik? Nie, przecież pan tak na seryo myśleć nie możesz. I ona byłaby również nieszczęśliwą. Zostaw pan na swobodzie ptaszka, bo by sobie pewno połamał skrzydełka o kraty waszej klatki świecącej.

Karol Orzechowański słuchał, słuchał — słowa Mraza już przebrzmiały, on jednak milczał.

— Strata jest nieunikniona — dodał nakoniec Mraz. Któż będzie miał więcej siły do jej zniesienia, czy stary zakrystyan ze swą dziewczyną, czy też pan z synem?

Karol wstał i nie mówiąc ani słowa, zniknął we drzwiach swego gabinetu. Czy zbudziło się sumienie w starym zaprzańcu? Chyba nie. Wielowiekowe odstępstwo od narodu demoralizuje do gruntu.

Nauczyciel zmieszał. ulękł się sam siebie! Nawet jakiś żal opanował czułe jego serce.

Nerwowy, głośny płacz odezwał się we drzwiach.

Nauczyciel się obejrzał: przed nim stanęła Herma cała we łzach. Oczy jej błyszczały jak kryształ górski, gdy nań padnie rosy kropelka.

— O mój najdroższy, mój najdroższy — załkała dziewczyna i oparła ręce na ramieniu mężczyzny.

Patrzyła mu zbliska w oczy. Oddech jej wionął mu na twarz a rączki całym swym ciężarem cisnęły wokoło szyi. Niepokój, śmiertelny niepokój ogarnął dobrego Macieja. Uczucia jego zmieniały się, jak barwa na bańce mydlanej. Bojaźń osłabła, rzeczywistość znikała — nakoniec pochwycił dziewczę w objęcia i namiętnie całował te kształtne, świeże, malinowe usta. I znów ból, znów jęk!

— Boże mój, Boże mój — westchnął i wyrwał się z objęć Hermy. Oh ja nędzny, oh ja nikczemny.

— Tyś szlachetny, o mój najmilszy!.... Ale co znaczy ta rozpacz — spytała Herma Mraza, który zakrywszy twarz rękami, upadł na to samo krzesło, na którem przed chwilą sam pan domu słuchał słów jego! Słowa, słowa — ach gdyby widział czyny! Ileż tu sprzeczności, jakie przeciwieństwa! Tyś łotr Macieju! Czyż nie dość jeszcze wycierpiałeś? Jeszcześ się nie uleczył?

— Zaśmiej się Hermo, zaśmiej się znów! O jakże ten śmiech był dobroczynnym! Cóżem ja uczynił. Przebacz mi, przebacz!

— Co ci mam przebaczyć? Wszakże ja sama przyszłam do ciebie! Nie odpychaj mię! Nie, nie śmiechu, ale łez słodkich, łez szczęścia potrzeba mi teraz. Spojrzyj mi w oczy; czy nie widzisz w nich miłości, prawdziwej miłości?

— Cóż nam po miłości, Hermo! Ona rozpłomieni nasze głowy i serca a pozostawi

razem ograniczenie swobody prywatnego nauczania.

Względy polityczne nakazują nam tę smutną konieczność a obawa posądzenia o reakcyę nie powinna wstrzymywać nas na tej drodze; przykład państw bardziej od nas ucywilizowanych, zmuszonych siłą rzeczy do tego ograniczenia wolności, rozgrzesza nasze sumienie z tej winy.

Trzeba tylko jasno postawić kwestyę i przeprowadzić reformę wytrwale i konsekwentnie. Nawet w tej wrogiej postępowi masie żydowskiej znajdują się żywioły, mające pewne poczucie obywatelskie lub niezdecydowane, wahające się przed wyborem drogi. Że tak jest, świadczy okoliczność, iż na kilka dni przed wyborami rabin Bloch, chcąc skłonić szalę na swoją stronę, przyrzekł wstąpić do Koła polskiego w Radzie Państwa. Ani dobrze zrozumiany interes, ani godność własna nie pozwala Kołu wchodzić w ugodę i sojusz z tego rodzaju osobistościami; dwa lub trzy głosy więcej nie dadzą mu tego znaczenia politycznego, jakie zjednać może ściślejsze przestrzeganie swojej powagi moralnej. Niechaj pp. Blochy, Sochary i inni głosują, jeżeli chcą, z Kołem polskiem, ale nie powinno ono powagą swoją uświęcać tego rodzaju faktów spełnionych, nie powinno w interesie przyszłości godzić się z każdym czynem nieobywatelskim i szkodliwym, dla tego tylko, że doraźnie usunąć się nie da.

J. L. P.

Z GALICYI.

Lwów, 20 maja.

Rozmowa infamisów.—Nowy utwór sceniczny.—Dramat czy farsa.— Rozdwojenie w personelu teatralnym.— *Perturbatores choris.*—Co się odwlecze, to nie uciecze.— Nowa opera: *Schweiggeld.* — Fatalne libretto. — Gdzie prawda,—Kto jeszcze nie wziął szweiggeldu.

— Ty infamisie!

— Tyś sam infamis!

— Zdaje mi się, że pana obraziłem... Cofam więc moje wyrażenie i przepraszam.

— Ja także cofam moje wyrażenie i przepraszam.

Dyalog powyższy wygłoszony został przez ministra oświaty Conrada i posła Heilsberga. Była to ostatnia scena dramatu p. t. *Nowela szkolna*, granego niedawno na deskach wiedeńskiego parlamentu. Wystawieniem tej sztuki niepoślednie zajęły się osobistości: reżyserem był hr. Taaffe, inspicyentem bar. Conrad, w budkach zaś suflerskich, których aż dwie postawiono na scenie z obawy, aby się artyści nie „zasypali,“ zasiedli: sam autor Lienbacher, tudzież mecenas tego rodzaju sztuk pięknych, ks. Lichtenstein.

Żaden może jeszcze utwór sceniczny nie spotkał się z tak sprzecznymi sądami, jak wspomniana właśnie *Nowela szkolna*. Sprzeczność doszła do tego stopnia, że nawet co do rodzaju sztuki nie zgodzono się na wspólne orzeczenie: jedni bowiem chcą w niej widzieć krwawy dramat, zakończony zwycięstwem żywiołów dobrych, drudzy zaś z całą stanowczością utrzymują, że to była najoczywistsza komedya... Wartość artystyczna i społeczna doniosłość utworu stały się również przedmiotem zaciętych sporów. Ci, co sztukę ochrzcili nazwą dramatu, wpadli po spuszczeniu zasłony w formalny zachwyt, z którego nie ochłonęli nawet wśród najmniej zachwycających epizodów *katzenjammeru*, naturalnego zresztą następstwa bankietu, wydanego przez kluby prawicy na uczczenie tego pamiętnego w dziejach Austryi widowiska. Przeciwnicy ich twierdzą natomiast, że cała nowela to najpoziomsza farsa, coś w rodzaju *Oj młody, młody* hr. Fredry (nb. syna).

A już co do gry artystów, to różnica zdań dosięgła dwu krańcowych punktów. Spór o to przeniósł się i do personelu teatralnego, przyczem omal nie przyszło do bijatyki, skończyło się atoli szczęśliwie tylko na wymyślaniu „od infamisów.“ Artyści, którzy traktowali role swoje ze stanowiska komicznego, psuli podobno całe przedstawienie do tego stopnia, że w najpatetyczniejszych chwilach publiczność wybuchała serdecznym śmiechem, patrząc na poważny nastrój reszty kapłanów sztuki, którzy ją pojęli całkiem seryo. Znalazł się także i *perturbator choris* po każdej stronie. Był nim wyrodny Tilszer, czech, po prawej — wyjątkowo poważny Schönerer—po lewej.

Żałuję, że nie mogę rozwieść się tutaj szerzej nad tą farsą. Tak, farsą... I ja bowiem przyszedłem również do tego przekonania, że obrady nad nowelą szkolną były niczem więcej, jak krotochwilą. Nazwałbym ją jeszcze lepiej komidramatem, jeśli zaś farsą, to sąd mój odnieśćby właściwie należało do udziału, jaki w niej wzięły kluby prawicy, z wyjątkiem chyba katolicko-konserwatywnego centrum księcia Lichtensteina. Najkomiczniej wyglądali posłowie polscy, którzy z początku dosyć ostro stawili się przeciw noweli, przy trzecim zaś czytaniu głosowali za nią... z przekonania. Takby przynajmniej wnosić można z oświadczeń rzeczników Koła. Powtarzam zatem jeszcze raz, że mi nieskończenie przykro pominąć sposobność szerszego skreślenia pewnych charakterystycznych cech galicyjskiego rozumu stanu. Tem się tylko pocieszam, że na podobną sposobność nie będę prawdopodobnie potrzebował czekać zbyt długo...

Spieszę teraz do innego teatru, aby po wysłuchaniu niewesołego komidramatu napoić się przynajmniej dźwiękami opery. Także nowalijka! Tytuł: *Schweiggeld*, kompozytor: Länderbank, trupa śpiewaków: prasa galicyjska. Wybaczcie, że piszę tak lakonicznie, ale utwór powyższy tak silne wywarł na mnie wrażenie, iż słów moich zgrabnie wiązać nie umiem. Nowy mistrz tonów znany jest już czytelnikom *Prawdy* skądinąd, uwalniam się przeto od nieuniknionego w innych wypadkach wstępu a raczej finału recenzyi, nakazującego cisnąć garść kadzidła autorowi. To jednak najmniejszy jeszcze powód czarnej melancholii, o którą przyprawiło mnie właściwie libretto. Dalibóg, nic nie mogłem zrozumieć. Wiem tylko... Alboż ja wiem co?.. Najlepiej zrobię, powtarzając rozmowę jakiegoś małżeństwa, które, siedząc obok, przysłuchiwało się wraz ze mną tej czystym realizmem tchnącej muzyce... milczenia.

— Wiesz co — mówiła najpierw otyła połowica — mnie się zdaje, że redaktor *Dziennika* nie wziął *Schweiggeldu*. Pieniądze, które dał Gniewoszowi, nie pochodziły z Länderbanku, ale z jego własnej kieszeni

---

nam ból głuchy, wieczny! Powiedzmy sobie, żeśmy przespali sen piękny, bolesny, lecz słodki — przyszedł poranek, sen uleciał i siadł u boku brata swego — anioła śmierci! Myśmy najniewinniej wpadli w tę otchłań — znośmy nasz los cierpliwie!

Nauczyciel zabierał się do wyjścia. Herma stała, jakby przymarzła do ziemi. Bladość okryła jej twarz. Wspomniała naznaczenie słów nauczyciela, któremi tak upokorzył jej ojca — porównała je z tem, co się stało przed minutą... jej duch pracował z szybkością błyskawicy, serce zadrżało z bojaźni a nawet pewności, że Mraz nigdy już nie zbliży się do niej w podobny sposób. Jego męski charakter ukazał jej się w całej pełni swej energii. Widziała jego niezmierną miłość dla ludu słowackiego, nędznego, wzgardzonego i opuszczonego przez wszystkich—ta miłość jest przeszkodą w jej szczęściu!...

— Czyż moje serce nie może gorzeć taką miłością dla ludu, jak twoje?— spytała tonem stanowczym, wychodzącym z głębi czystej piersi dziewiczej.

Mraz był wtedy już przy drzwiach z silnem postanowieniem, że się nie obejrzy. Zacisnął zęby, zwarł pięść i szedł prosto, równo, bez pożegnania. Zapytanie dziewczęcia spętało mu nogi. „Nie obejrzę się!“ zamruczał sam do siebie i chciał iść dalej... „Ach za te piękne, miłe słowa, choć raz jeszcze spojrzę na anioła!“

Obejrzał się...

Jakże piękna, uduchowiona, niewinna stała przed jego oczami! Są chwile, gdzie najsilniejsza wola pęka jak kruche szkło. .

* * *

Dom Orzechowańskich zapadał się, walił na wsze strony, jak budowa postawiona na piasku lub trzęsawisku. Kredyt, podniesiony chwilowo wieścią o dziedzictwie, upadł, weksle sypały się gradem i gnębiły głowę domu. Do tego wszystkiego przybyła straszna wiadomość z Pesztu, że młodszy syn Piszta, naruszywszy studencką kasę pożyczkową, dostał się pod śledztwo; hańba i strach wcisnęły mu rewolwer do ręki. Znaleziono go w lasku miejskim z roztrzaskaną czaszką.

Luiza Orzechowańska zemdlała; ocucona przez lekarza, który przypadkiem był we wsi, zaniosła się płaczem rozdzierającym serce: i rzecz dziwna, przyzywała Boga po słowacku! W śmiertelnych bolesciach ustają grymasy i komedye całego życia.

Aureli nadesłał z Pesztu bliższe wiadomości o samobójstwie brata. List brzmiał sucho. Kto wyrzuci z serca miłość kraju, wypędza tem samem i jej rodzoną siostrę, miłość rodziny.

Lekarz zajęty był nieszczęsną kobietą. Herma wbiegła do pokoju i klękła u nóg bladej matki.

— Panie doktorze, idź pan do nauczyciela, bo umiera!

Więcej mówić nie mogła. Matka i córka uściskały się. Po raz pierwszy serdecznie, bez goryczy, bez cienia niezgody.

Doktór wszedł do mieszkania nauczyciela. Mraz leżał na sofce przykryty futrem. Oczy miał w słup, piersi poruszały się kurczowo. Stary Bohunka stał w głowach strapiony, rozżalony. Do nadchodzącego doktora krzyknęła Marysia:

— Na Boga, panie doktorze, ratujcie, on umiera!

Lekarz mógł tylko jej słowa potwierdzić. Po chwili ustały kurcze w piersiach. Mraz uczuł się swobodniejszym,

— Marysiu — rzekł — pójdź bliżej! Marysia schyliła się nad umierającym. On szeptał:

— Poproś pannę Hermę, aby mnie nie żałowała! Bóg dopomógł nam w rozwiązaniu ciężkiej zagadki! Ucałuj jej ręce w mojem imieniu!

Marysia zapłakała w głos.

— Cicho — rozkazał lekarz. Chory potrzebuje spokoju.

— Bądź szczęśliwą z Jankiem, Marysiu, tyś była silniejszą ode mnie! Niech was niebo błogosławi.

Marysia nie zrozumiała słów swego nauczyciela.

Nastąpiła krótka walka śmiertelna. Bohunka złożył dłonie szlachetnego nieboszczyka i zamknął mu oczy....

a ofiarowane były za milczenie o romansie, który się odgrywa za kulisami, a którego bohaterem jest sam Sawicki. Gniewosz podpatrzył go i korzysta na scenie z tajemnicy podwójnie...

— Co? — ozwie się na to dozgonny otyłej damy towarzysz—ten wymokły szczur miałby jeszcze być zdolnym do romansów? Et, gadasz asińdźka ni w pięć, ni w dziewięć! Obaj wzięli *Schweiggeld*! W operze tej sami tylko złodzieje śpiewają. Gryzą się oni między sobą, jak wilki o zaduszoną owcę, przywdziewające na widok pasterzy baranie skóry, aby ujść ich bata. Jeden tylko, czy to, że był między nimi *najgniewniejszy*, czy też, że nie miał się czem okryć, nie przywdział na się futra niewinności. Tłuką go też bez miłosierdzia.

Podobny sąd wyrobiła sobie i reszta małżeństw. Niewiasty — p. S. jest jeszcze dosyć młody i podobno przystojny—domyślają się koniecznie romansu, mężczyźni zaś pomimo wyroku sądu honorowego (także temat do komedyi!) przechylają się na stronę drugiego przypuszczenia. Co do mnie, to aczkolwiek płeć moja nie podlega, zdaje się, najmniejszej wątpliwości, wyznać muszę, że nie zdołałem sobie wyrobić dotychczas stanowczego sądu. W całej tej zagmatwanej sprawie tyle napotykam *pro* i *contra*, że sumienie nie pozwala mi wydać wyroku bez zastrzeżeń. Z zastrzeżeniem zatem, że mogę chybić najzupełniej, odważę się dopiero powiedzieć, że rozdanie *Schweiggeldu* nie tylko było możliwem, ale i prawdopodobnem. Bo trzeba wiedzieć, że prócz *Sztandaru polskiego*, który z odebranych pieniędzy pokwitował dyrekcyę Länderbanku w łamach swoich publicznie, prócz (dla mnie przynajmniej) niedostatecznie zaprzeczonego udziału *Dziennika polsk.* w rozdrapaniu länderbankowej asygnaty—*Nowa Reforma* zarzuciła niedawno także i *Gazecie Krakowskiej* tysiącem guldenów opłacone milczenie. Wziąwszy nadto pod uwagę, że *Różowe Domino* wcale nie dwuznacznie śpiewa o 10.000 powodów do wyrzutów sumienia w redakcyi *Czasu*, łatwo można przyjść do przekonania, że *Schweiggeld* wziąć mogło nawet... Nie snujmy niebezpiecznej hypotezy!

Należałoby mi wspomnieć dzisiaj jeszcze o procesie socyalistów, trochę o wyborach do sejmu, o teatrze i nowej jego dyrekcyi, parę słów poświęcić także istniejącemu u nas podobno ruchowi literackiemu, ale to wszystko odkładam już do następnego listu, aby dzisiejszego nie przedłużać zbytecznie.

Rewera.

Z Heidelberga.

Maj, 1883.

Półrocze letnie w uniwersytecie.—Profesorowie: Bunsen i laboratorya chemiczne.—Wydział przyrodniczy.—Humaniora. — Prawoznawstwo. — Medycyna i zaklady pomocnicze. — Teologia. — Biblioteka uniwersytecka. — Komisya akademicka.

Po kilkudniowych wakacyach, z końcem kwietnia, rozpoczęły się na nowo odczyty w uniwersytecie tutejszym. Letni semestr odznacza się zwykle większym napływem słuchaczów: piękność położenia naszego miasteczka przywabia młodzież, która zimowe półrocze woli spędzać w miastach, dostarczających więcej rozrywek publicznych i towarzyskich. Gdy więc w upłynionym, zimowym semestrze zapisanych było 698 studentów, obecnie liczba ich przechodzi tysiąc, a zapisy jeszcze się nie skończyły; napływ, nawet na lato, niezwykły, bo np. w letniem półroczu r. 1882 akademików liczono 922.

Polaków dotychczas jest bardzo niewielu, zaledwie ośmiu; z tych dwóch doktorantów, jeden z filozofii, drugi z medycyny, trzech chemików, jeden medyk i dwu wolnych słuchaczów.

W jednym z poprzednich listów rozpocząłem zaznajamianie czytelników z tutejszem ciałem profesorskiem: mówiłem o p. Juraszu, rodaku naszym, profesorze medycyny, i o Fischerze, historyku filozofii. Dzisiaj rozpocząć mi należy od sławnego chemika Bunsena. Mówić o nim można albo bardzo wiele, albo bardzo mało. Chcąc wyliczyć wszystkie jego zasługi na polu chemii i fizyki teoretycznej, wszystkie odkrycia naukowe i praktyczne, trzebaby spisać długi regestr i ocenić należycie każdy nowy przyczynek do zasobów wiedzy i życia praktycznego; lecz na to trzeba być specyalistą; a że takim nie jestem, muszę więc kilku rysami zastąpić brak dokładniejszej charakterystyki. Zresztą imię Bunsena przywiązane jest do tylu odkryć, wynalazków, ulepszeń, a uczniów i wielbicieli jego tak jest wielu, że wątpię, aby którykolwiek z czytelników *Prawdy* potrzebował odemnie się dowiadywać, iż uczony ten jest pierwszorzędną znakomitością europejską. Dodam tu tylko parę szczegółów, charakteryzujących tę gwiazdę heidelberską. Ktoby się chciał nauczyć rzeczy, daleko trudniejszej od chemii, mianowicie skromności, tenby powinien patrzeć na Bunsena. Człowiek ten, osypany tytułami i orderami, cieszący się niezwykłą sławą, na wykładach nigdy o sobie nie mówi: gdy musi, z natury rzeczy, wspomnieć o wynalezionych przez siebie przyrządach lub odkrytych ciałach i związkach chemicznych, wspomina o nich jakby o rzeczach od wieków znanych, a mniej z nauką oswojeni słuchacze dopiero z książek lub od starszych towarzyszów dowiadują się o twórczości i genialności swojego mistrza. W laboratoryum obcuje szanowny starzec z młodzieżą jak patryarcha, jak starszy kolega: grzeczny, potulny i chętny do najwyższego stopnia, przytem bajecznie cierpliwy i pracowity. Niedawno Akademia paryska zaszczyciła go najwyższem odznaczeniem, mianując, jednym z czterech, członkiem zagranicznym; otóż naoczni świadkowie opowiadają, że wiadomość tę przyjął Bunsen z nieudanem zdziwieniem i zakłopotaniem, mówiąc: dla czegoż mnie mianowicie odznaczono, czyż nie znaleźli ci panowie kogoś godniejszego? A kto go zna bliżej, ten uwierzy, że we frazesie tym ani nieszczerości, ani udania nie było.

Pod kierownictwem Bunsena zostaje znakomicie urządzone i licznie zawsze uczęszczane laboratoryum chemiczne. Mieści się ono w osobnym gmachu, umyślnie na ten cel zbudowanym pod kierownictwem Bunsena, Helmholtza i Kirchhofa; ci dwaj byli dawniej tu profesorami, a obecnie, jako gwiazdy pierwszej wielkości, przyświecają Berlinowi. W gmachu tym są audytorya oraz mieszkania Bunsena i jego trzech pomocników, czyli asystentów; studenci mają tam bardzo wygodne pracownie, ze wszelkiemi możebnemi ułatwieniami i osobnymi przyrządami. Zaprowadzony jest tam wzorowy porządek; za najmniejsze przekroczenie jego płacą się kary; dozór mają wybrani z pomiędzy kolegów starsi. Tak np. za zapomnienie zakręcenia gazu płaci się 50 fenigów, za niezakręcenie wody 20 fen., za niezakorkowanie niepachnących płynów 30 fen.; zebrane z kar pieniądze idą na rzecz biblioteki chemicznej, która się mieści w tymże gmachu. Opłata za laboratoryum i kierownictwo profesora oraz jego asystentów jest dosyć wysoka: 85 m. za półrocze; dają za to bezpłatnie wszelkie potrzebne materały i tańsze reaktywy, ale droższe oraz wszelkie przyrządy, jak druty platynowe, naczynia, rurki szklanne, gutaperkowe itd. trzeba kupować z własnej kieszeni.

Oprocz tego głównego laboratorym chemicznego, jest jeszcze drugie, przeznaczone głównie dla medyków, pod kierunkiem profesora Delffsa, a oprócz tego trzy prywatne, z tych dwa dla chemii organicznej i jedno dla farmaceutów.

Ponieważ rozpoczęliśmy od Bunsena, idźmy więc dalej, nie opuszczając wydziału przyrodniczego, który, jak wszędzie w Niemczech, zalicza się do fakultetu filozoficznego, ogarniającego wszystkie umiejętności, oprócz medycyny, prawa i teologii.

Znakomitością chemiczną jest również prof. Kopp; odznaczył się on jako historyk chemii, a znawcy utrzymują, że żadna literatura nie posiada równie gruntownych i pięknie opracowanych dziejów tej nauki; oprócz tego Kopp słynie jako człowiek wszechstronnie ukształcony, czego dowody złożył w pismach przeróżnej treści; jest przytem bardzo miłym i zajmującym w towarzystwie; żyje w ścisłej przyjaźni z Bunsenem.

Fizykę wykłada i pracownią fizyczną kieruje głośny też w Europie prof. Quincke, słynący nadto jako znakomity matematyk.

Na wydziale humanistycznym, oprócz pierwszorzędnej znakomitości, Kuno Fischera, posiada Heidelberg kilka wybitniejszych postaci: Bartscha, słynnego germanistę, redaktora *Germanii* po Pfeiffrze; Kniesa, głośnego kameralistę, przyjaciela polaków; Weila, zasłużonego oryentalistę, który niegdyś szacha perskiego powitał mową perską i za to otrzymał order, jakkolwiek złośliwe języki powiadają, że szach ani słowa z tej mowy nie zrozumiał; Osthoffa, jednego z lepszych językoznawców nowej szkoły, zwanej „młodo-gramatyczną“ (*Junggrammatiker*), bardzo czynnego pisarza, dobrego znawcę sanskrytu i nader lubionego przez studentów dla miłego i towarzyskiego charakteru; Lefmanna, sanskrycistę, wydawcę tekstów i tłomacza; Casparego, badacza początków cywilizacyi, filozofa-historyka; Nohla, teoretyka i historyka muzycznego, zaciekłego wielbiciela Wagnera i kilku innych, mniej odznaczających się. Dzieje powszechne, od śmierci Häusera, nie doczekały się tu głośniejszego pracownika.

Wydział prawny liczy zwykle najwięcej słuchaczów, chociaż nie posiada obecnie takich znakomitości, jakiemi się dawniej szczycił. Nie ma już ani Roberta Mohla, ani Mittermeyera, ani Bluntschlego. Miejsce ich zajęli ludzie uczeni, ale nieodznaczający się wyższemi zdolnościami profesorskiemi lub publicystycznemi. Najwięcej chwalony jest tu profesor prawa narodów Schulze, z Wrocławia.

Medycyna tutejsza, chociaż niedawno poniosła wielką stratę przez śmierć Friedreicha (miejsce jego zajął Erb z Lipska), stoi jednakże świetnie. Nestorem uczonych lekarzów tutejszych jest sławny Arnold, anatom wysłużony, emeryt; syn jego, już radca tajny, słynie jako najzdolniejszy lektor; specyalnością jego anatomia patologiczna; bardzo lubiony jest przez studentów i nader popularny. Niedawno zapraszano go do Wiednia, ale odmówił, co popularność jego jeszcze spotęgowało. Gegenbauer, z Jeny, dzierży berło anatomii. Fizyologię wykłada sławny Kühne; przed kilku laty wzywano go dla objęcia katedry do Wiednia; Heidelberg nie chciał go wypuścić; Kühne niewielką też mając ochotę rozstawać się z pięknem miasteczkiem, położył za warunek: nie żeby mu podwyższono pensyę, jak to zwykle w podobnych razach w Niemczech się dzieje, ale żeby mu zbudowano doskonały instytut fizyologiczny. Stało się zadość jego życzeniu; wkrótce wzniesiono piękny gmach na ulicy uniwersyteckiej, zbudowany i urządzony podług jego planów i pod jego kiero-

wnictwem. Obecnie należy zakład ten do pierwszorzędnych w Europie. Oczywiście Kühne nie zapomniał i o ślicznem mieszkaniu dla siebie i dla asystentów, pod wspólnym dachem fizyologii: ale miał do tego zupełne prawo, dokonywając szlachetnego czynu, którym urzeczywistnił najpiękniejszy postulat etyki nowożytnej—pogodzenie dobra i interesu ogólnego z dobrem i interesem publicznym. Dodać jeszcze muszę, że profesor ten odznacza się niepospolitem wszechstronnem ukształceniem, artystycznem i literackiem, a także słynie jako miły *Gesellschafter*, czyli człowiek przyjemnego towarzystwa. Okulistyka ma tu przedstawiciela w słynnym Bekkerze, niegdyś asystencie Artla wiedeńskiego, koledze naszego Rydla krakowskiego; jest on zarazem kierownikiem kliniki okulistycznej. Czerny, jak widać z nazwiska, pochodzenia czeskiego, były asystent Billrotha wiedeńskiego, profesor chirurgii i operator, wysoce ceniony i... opłacany, bo opłacać się każe grubo. Czesi powoływali go do swej wszechnicy w Pradze, ale odmówił, chociaż dodać należy, że nie pojechał też, pomimo dwukrotne zaproszenie, ani do Würzburga, ani nawet do Wiednia. Pod dyrekcyą Czernego zostaje klinika chirurgiczna. Nie wymieniam kilku innych profesorów medycyny, którzy nie zdołali jeszcze zdobyć sobie szerszego rozgłosu. O szanownym naszym rodaku, prof. Antonim Juraszu, mówiłem obszernie w jednym z zeszłorocznych listów moich (nr. 50); dodaję tu, że przewodniczy on stale klinice ruchomej chorób gardła, mieszczącej się w gmachu szpitala.

Ma się rozumieć, że wykładają tu, mówiąc słowami Goethego: „und leider, ach, Theologie.“ Wydział teologiczny jest protestancki (katolicki we Freiburgu bryzgowskim); wielkich luminarzy nie liczy w zastępach swoich, a studentów miewa nie wyżej nad pięćdziesięciu. Najstarszy wiekiem i słynny szczególnie z wydania Encyklopedyi biblijnej (*Bibellexicon*, 5 tomów, 1875), jednej z lepszych i liberalniejszych, profesor Schenkel, stoi na czele fakultetu; pomimo że, jak i wszyscy teologowie tutejsi, nie należy on do tak zwanych ortodoksów, nie mogą mu zapomnieć wielbiciele Fischera, iż podczas prześladowania jego należał do stronnictwa siły i gwałtu. Oprócz Schenkla wymienię jeszcze Holstena, badacza ewangelii, który — jedyny z pośród teologów tutejszych — mieszał się czynnie do tak zwanego kulturkampfu miejscowego, co dowodzi, iż ostatecznie ewangelii nie zgruntował, bo ta, jak mi się zdaje, do kulturkampfów nie usposabia i nie zachęca; Kneuckera, proboszcza w sąsiedniej wsi Ziegelhausen, znawcę języków semickich i Gassa, dogmatologa, o którym dowcip studencki powiada, że „Gas ist kein Kirchenlicht“ — gaz nie jest światłem kościelnem.

Szczegóły o życiu studentów odkładam do dalszej pogawędki; tymczasem nadmieniam tylko, że akademicy tutejsi wybierają co pół roku komisyę z pośród siebie, która ich reprezentuje wobec władz uniwersyteckich i innych krajowych: bardzo to piękna instytucya, zapobiegająca przeróżnym zajściom i łagodząca wszelkie spory pomiędzy młodzieżą uniwersytecką a resztą mieszkańców, które zresztą dość rzadko zachodzą.

Jan Karłowicz.

Z Parnasu.

Włodzimierz Wysocki, **Laszka**, Kijów.

Jesteśmy w małym szlacheckim dworku nad Bugiem. Pod cieniem lipy, przy blasku księżyca widać ludzi dwoje: on—rotmistrz pancernego znaku, ona, jego ubóstwiana Terenia — jego kochanka. Jeszcze jeden uścisk serdeczny, jedna — ostatnia przysięga i oto poeta przenosi już nas daleko w stepy Ukrainy, gdzie rycerz pójdzie w zapasy z pohańcem. Znajome, a zawsze miłe oku albo straszne obrazy: te same trawy, burzany, kurhany, ten sam wiatr stepowy, swawolny, te same łuny pożarnej odbłyski. Na kresach bohater nasz zawiera najprzód znajomość, a potem przyjaźń z przydanym mu do pomocy atamanem kozackim Czałą. Obaj walczą z tatarem, ale straszna nawałnica nieubłaganie posuwa się w głąb kraju i dopiero na obciążonych łupem rabusiów skuteczniej natrzeć mogli dwaj przyjaciele. Zdarzyło się, iż w liczbie uwolnionych przez atamana branek litewskich była i Terenia. Dzielny kozak ogniście pokochał dziewczynę, ale ona tylko wdzięczność siostrzaną w zamian ofiarować mu mogła. Tymczasem rotmistrz, ukończywszy jakieś dalsze za wrogiem zapasy, powraca do wspólnego obozu. Terenia poznaje go i sytuacya się wyświetla. Dowódzcy z przyjaciół stają się rywalami. Pojedynek o losie ich ma rozstrzygnąć: lada chwila tryśnie krew bratnia. Tymczasem nowe hordy tatarskie otaczają mały obóz polski, co widząc Terenia, rzuca się w tłumy nieprzyjaciół:

> Ja spór rozstrzygnę: ten z was moim mężem,
> Kto mię tam pierwszy dobędzie orężem.

Po zaciekłej bitwie rotmistrz zdołał nakoniec pochwycić w objęcia kochankę... w tej samej chwili, kiedy pierś jej przeszył grot pohańca. Umierając, bohaterka połączyła dłonie dwóch zwaśnionych przyjaciół.

Na tej romantycznej kanwie autor rozsiał kwiaty szczerego natchnienia i poezyi. Panującem w jego utworze uczuciem jest czysta miłość dla przeszłości i tęsknota za nią. Ziemię swą ukochał on tak bardzo, iż dla niej rozkoszy raju wyrzec się gotów. Ta cześć dla rzeczy minionych uwidocznia się najlepiej w „przygrywce,“ którą kończy słowami:

> Czołem wam mary kochane!
> Pokłon ci, dawna przeszłości.

Nie jest to ów mazgajowaty nasz sentymentalizm względem tradycyi. Z okruchów lepszej doli i lepszej sławy wybrał poeta to, co na szacunek po wszystkie czasy zasługiwać będzie. Za męstwem rycerzy nie ukrywa się, jak za polityką krzykaczy sejmowych, mara kastowego egoizmu.

Bolesnem echem drga w pieśni poety struna żalu za dawne błędy polityczne narodu: za nasz stosunek do kozaczyzny. Z tego też powodu utwór p. Wysockiego wyrasta nad poziom zwykłych kwileń lirycznych. Wielką przysługę autorowi oddałby, jak sądzę, ten, ktoby utwór jego przetłomaczył na język Szewczenki.

Zewnętrzna szata *Laszki*, miejscami wspaniała, wszędzie jest piękną i świeżą. Porównania odznaczają się niezwykłą plastycznością. Tak np. wiosna poety:

> Ujęła całun różowym paluszkiem
> I zwolna ściąga, *fałdując go w strugi*,
> Umykające z szumem i pośpiechem
> I pocałunkiem ciepłym i oddechem,
> Zdmuchuje z powiek ziemi sen za długi...

Takich obrazów jest mnóstwo; brak miejsca nie pozwala ukazać ich tutaj czytelnikom, którzy stratę tę powinni sobie wsposób właściwy wynagrodzić.

M. B.

Józef Korwin Kuczyński. **Poezye**. Warszawa, 1883 str. 158.

P. Kuczyński jest jeszcze bardzo młody. Wnioskuję o tem nie z dedykacyi książeczki rodzicom, ani z poezyi 82 r., gdzie autor nie wierzy w śmierć umarłej swej babki. Te fakta nie do mnie należą. Młodość ojca widzę w jego—dzieciach.

Wiadomo, że dzieci naśladują. Rozejrzawszy się w utworach p. K., znajdziemy w nich, oprócz głównej pożyczki tła od Słowackiego, skrawki z Krasińskiego i Syrokomli, tak żywo przypominające pierwowzory, że możemy powinszować poecie w tym kierunku zdolności. Wiadomo także, iż napuszoność, banalność i częste powtarzania się w stylu właściwe są piórom początkującym. Nasz autor, chociaż odznacza się widocznie wielką łatwością wierszowania, nie jest jednakże wolnym od tego zarzutu. „Tłumy“ i „roje“ kolumn, „kryształenie“ i niektóre inne wyrazy przypadają mu szczególnie do smaku. Ciągłe znowu porównania do kararyjskich marmurów, gór stropów śnieżystych, bałwanów rozhukanych, oczu burysek, farysów etc. są i przesadzone i banalne, zużyte. Lecz porzućmy styl, który, chociaż naśladowany i wydęty, miejscami bywa wyrazisty.

U dzieci cokolwiek zdolniejszych najwcześniej ze wszystkich sił duchowych rozwija się „szlachetna“ ambicya, żądza sławy i zaszczytów. Nietyle zajmuje ich droga, którą iść zamierzają po wawrzyny, ile samo wyniesienie się nad tłumy, przyjmowanie hołdów wymarzonych. Genialne organizacye poetyczne jeszcze za młodu nie przestając namiętnie marzyć o sławie, zdolne są szczerze się przejąć jakąś sprawą, stają się przewodnikami mas przez pochwycenie prądów ogólnych i wyśpiewanie uczuć, wstrząsających ogółem. Lecz zwykle te ambitne zapały bardzo ujemnie wpływają na działalność autora i świadczą o jego niedojrzałości. W zbiorku p. K. mamy jeden utwór, „Umarły i odrodzony,“ mogący dać materyał do scharakteryzowania dziecięcej imaginacyi. Tu młody wieszcz, nie widząc „sarkofagu, co miał potomnym imię jego przechować,“ rozgniewany na Poezyę, do której „ma największy żal,“ woła z goryczą:

> Dziś... chociaż tłumu kochać nie przestałem
> I wszystkie grzechy przebaczyłem jemu,
> Ale dostrajać do harmonii struny
> I wyśpiewywać ludzkości sonety
> I wierzyć w kogoś — i walczyć i żądać
> Nie mnie!...

Postanawia przeto zarzucić „pieśniotwórcze rzemiosło“ dla tego, „że niema tyle, ile trzeba, złota.“ A cóż potem? Przeniosę się — powiada — nad brzegi kryształowego morza, będę, jak dziecko, zbierał muszle, wygrzewał się na słońcu, podziwiał blaski i barwy natury i będę „tulił do piersi południa huryski...“ Ale nie... Będę włoskim lazaronem, całe życie na kwiatkach przemarzę i u stóp Wenus (kamiennej) zasnę... Ale i to nie... „Pójdę daleko... pod niebo cieplejsze, spoję się z dumnym plemieniem farysów i z nimi będę walczył... ja!... wódz biały (!). Nie żal mi będzie chybionego życia, — Lecz tych, co wielkim tak widzieć mię chcieli,—Co mieli gwiazdy mej odbiciem świecić...—Biedni... Oniby we mnie pragnęli rozniecić—Zagasłe żądze laurowej korony...“ Zwracamy uwagę na ten ustęp. Rzuca on światło na atmosferę wychowania naszego. Dziecko nawet takie, w którego zdolności rodzice wierzą, na którego samodzielności nadzieje budują, od kolebki przesiąka pragnieniami egoistycznemi, dążeniami do zaszczytów i bogactwa. Szersze widnokręgi uczucia, myśli, walki i ofiar w tej sferze są rzeczą zupełnie nieznaną.

Lecz wróćmy do rzeczy. Naturalnie marzenia o muszlach morza kryształowego i piersiach hurysek nie nakarmią, ani napoją:

> *Nadeszła smutna upadku godzina...*
> *Gdy dla porodu lirycznego syna...*
> *Przed złotem głowę skłoniłem ku ziemi.*

Wskutek tego poetę ogarnia rozpacz. Chciałby się zabić ze wstydu i bólu, lecz chciałby, by przeniesiono jego zwłoki na Nilu wybrzeże, na stosie wielkim wianka-

mi obrzuconym spalono, by później z popiołów jego wyrosło drzewo soczyste w ogrodzie królewskim a owoc z niego spożyła królewna. Lecz nastaje wiosna, która czarne, ze złotemi frędzlami myśli poety rozpędza. Odrodzony, zaczyna marzyć rozkosznie:

„Za nowemi prądami popłynę,
By nową pieśni wywalczyć dziedzinę,..
Nie dla nas dzisiaj ta nuta tęskniąca
Za przesądami, co postęp obala.

Wogóle trudno odgadnąć, czego od ludzi i świata chce p. K. Że łamie sobie nad czemś głowę, jest to widocznem z rozmaitych „chwil wątpienia;“ lecz do jakich wyników dochodzi, o tem przynajmniej czytelnicy wiedzieć nie mogą. Żaden konkurs nie pomógłby do odnalezienia klucza tajemnic „Bez tytułu“ (prozą) i „Improwizacyi drugiej,“ gdzie wieszcz wypowiada jakiś pogląd na całokształt życia i dziejów. „Kapłanka prawdy,“ „Improwizacya“ i niektóre inne ułamki zrzekają się stanowczo starych tradycyj estetycznych i pragną odnaleźć nowe drogi. Źródłem szlachetnej tej chęci jest niewiara w to, aby idąc staremi ścieżkami, można było pociągnąć za sobą masy. Lecz z drugiej strony wiersze: „Henryk Siemiradzki,“ „Do***“ i inne tchną duchem ortodoksyjnych pojęć o sztuce. Widać umysł, w którym krytyka jeszcze nie zabrała przynależnego miejsca, głowę, godzącą najsprzeczniejsze idee.

Brak wiedzy nie jest u nas dowodem młodzieńczości, albowiem wiadomo, że on zdobi często długie brody i zawiesiste wąsy. U. p. K. helotka (str. 69), znajdująca się w Sparcie, pracuje w górach Laurionu, szukając złota dla spartanów. Chociaż istoty poezyi to nie dotyczy, ale należałoby pamiętać ze szkoły, że ateńczycy wydobywali z owych gór srebro. To próbka błędów faktycznych, nie mamy zaś miejsca na wykazywanie dziecińtw filozoficznych.

Gdy mowa o młodym pisarzu, zawsze powstaje pytanie: czego się po nim spodziewać można? Nie wróżymy p. K. ani czarno, ani biało. Jest zdolny i posiada znaczną wprawę w wierszowaniu, ale nie ma wyrobionych poglądów na życie i sztukę, oraz nauki. Bez tych przymiotów daleko zajechać niepodobna. Szczerby w swej głowie musi młody autor zapełnić koniecznie. Czy zechce i zdoła, z „Poezyj“ wywnioskować nie można.

B. B.

WSPÓŁCZESNY RUCH RELIGIJNY
w zachodniej Europie.

II.

Podobny, racyonalistyczny kierunek przejawia się obecnie i w protestantyzmie anglikańskim. O ile sprawy religijne zajmują anglików, sądzić można z ilości ich stowarzyszeń. Wszystkich tego rodzaju zbiorowisk istnieje tam przeszło 20; są bardzo czynne i znacznym cieszą się wpływem. Jedno Towarzystwo misyonarskie ma przeszło 200.000 rocznego dochodu; a „British and Foreign Bible Society“ rozpowszechnia przeszło 2,500.000 egzemplarzy Biblij rocznie; „Monthly Tract Society“ rozdało przez czas swego istnienia 12 milionów broszur, przeważnie pośród arystokracyi itd.

Żadne państwo nie wydaje takich olbrzymich kapitałów na cele religijne, jak Anglia; pomimo to kościół państwowy z każdym rokiem traci tam coraz więcej zwolenników. Jego charakter, nieodpowiadający uczuciu religijnemu, surowość dyscyplinarna i nieokreśloność doktryn powodują, iż wielu nawet z pośród duchowieństwa przechodzi do obozu metodystów, katolików rzymskich, nowokonformistów itd. W 1851 r. liczono w Anglii 600.000 katolików, dziś ilość ich dochodzi do 2 milionów.

Rozdwojenie oddawna już istniejące w kościele anglikańskim, uwydatnia się coraz bardziej. Stanowiąc ogniwo pośrednie pomiędzy papizmem a kalwinizmem, dzieli się na trzy szkoły: „Kościół wyższy“ anglo katolicki, inaczej rytualistyczny, datujący się jeszcze od czasów Wilhelma III; „Kościół niższy“, czysto dogmatyczny, nieróżniący się prawie od presbyteryańskiego, traci swój swój wpływ obecnie; wreszcie „Kościół szeroki,“ raczej stowarzyszenie duchownych myślicieli, aniżeli organizacya religijna, powstał w r. 1860. Ostatni szerzy się stosunkowo szybko ze szkodą dwóch pierwszych. Widzimy więc i tu, podobnie jak w Niemczech, zwycięstwo racyonalizmu i jednoczesny upadek dogmatyzmu. Trzy te kościoły, pomimo znacznej pomiędzy nimi różnicy, istnieją obok siebie zgodnie. Chociaż zarząd spoczywa w ręku arcybiskupów, biskupów itd., naczelne kierownictwo należy królowej podług prawa, a do parlamentu w rzeczywistości. Skutkiem tego kościół jest tu ściśle zespolony z państwem, podczas gdy w narodach romańskich dwa te światy ciągle odsuwają się od siebie.

Wszystkich sekt w Anglii jest przeszło 170, liczących około 4 milionów wyznawców. Ważniejszemi z pomiędzy nich są: metodyści, baptyści, kwakry, unitaryanie, morawczycy, shekery (skaczący), Armia Zbawienia itd. Niezadowolenie z kościoła państwowego uwydatnia się szczególniej śród mieszczaństwa, w którem coraz nowe powstają sekty.

Od niedawnego czasu zaczyna w Anglii przejawiać się nowy ruch religijny. Jest to związek wolny od wyznaniowych ograniczeń, dający uczestnikom rozmaitych sekt możność wypowiadania swych poglądów i doświadczeń, azeby przez to uczynić życie narodu angielskiego więcej chrześciańskiem, t. j. przenikniętem religią miłości bliźniego. Dzisiejsi chrześcianie tak są dalecy od zrozumienia nauki swego mistrza, iż nazywają to „bezwyznaniowością.“

Urzędową religią w Szkocyi jest presbyteryanizm, zwany inaczej purytanizmem. Prawo wyboru proboszczów, należące do parafian, nadawane było oddawna założycielom kościołów. „Patronat“ ten, wprowadzony obowiązkowo w r. 1712, odstraszył znaczną ilość purytan, którzy założyli (1732) „Związkowy kościół presbyteryański.“ Ruch przeciw patronatowi wznowił się w 1834 r., parlament po dziewięcioletniej walce z duchowieństwem szkockiem odrzucił jego żądania, skutkiem czego trzecia część kleru (169 osób) założyła nowy „Niezależny kościół presbyteryański.“ Wszystkie trzy te kościoły również istnieją obok siebie swobodnie i dzielą się połową ludności szkockiej. Drugą połowę stanowią protestanccy dyssydenci, po części katolicy (około 300,000) i nieznaczna ilość anglikanów. W r. 1874 wniósł Disraeli bil o zniesieniu patronatu, który przyjęto. Kościół szkocki jednak nic nie zyskuje na tej reformie; usunięcie przyczyny, która spowodowała rozdział, nie usuwa samego rozdziału. W ostatnich czasach surowy presbyteryanizm tracić zaczyna swych wyznawców, którzy przechodzą do innych, mniej surowych sekt; ciągłe i zwiększające się nieporozumienia i spory wewnętrzne, oraz walka z dyssydentami na zewnątrz osłabiają go i chylą ku upadkowi. Racyonalizm i tu zapuszcza swe korzenie.

Ruch religijny w Irlandyi odmienną przybrał postać. Religia i narodowość zlały się w jedno pojęcie, stąd walka posiada charakter zapasów narodowych. Kościół irlandzki, rzymsko-katolicki (80%) uznany został przez Anglię dopiero podczas powstania w r. 1867, a w r. 1871 zniesiono prawo, na mocy którego kościół anglikański, liczący w Irlandyi pół miliona wyznawców, był państwowym, a więc uprzywilejowanym. Pomimo to stosunki pomiędzy rządem angielskim a Watykanem utrzymywały się zawsze na stopie prywatnej. We wszelkich jednak sporach z Irlandyą rząd przyznaje władzę papieża, starając się przez niego uspokoić niezadowolonych poddanych. Tak było w roku 1867, tak jest obecnie.

Wiadomo, jak Gladstone chciał rewolucyę rzymsko-katolickich landligistów ugasić przy pomocy papieża. Duchowieństwo bowiem niemałą gra rolę w ostatnich wypadkach irlandzkich. Faktem jest, iż zbierało ono składki dla parnellistów i wzywało wiernych do ofiar w tym celu. Zapewnia papieża, iż powstanie dzisiejsze jest koniecznem następstwem niesprawiedliwych urządzeń ekonomicznych; papież zaś utrzymuje, że bezpośrednie stosunki biskupów z rządem mogłyby znacznie przyczynić się do pokojowego ukończenia sprawy.

W rozebranych powyżej prądach religijnych, z wyjątkiem rzymskiego katolicyzmu, przejawia się stale, w mniejszym lub większym stopniu, kierunek racyonalistyczny. Jeżeli i katolicyzm zyskuje nowych wyznawców, to nie dla swej żywotności, lecz dla tego tylko, iż każdy upadek pewnej religii, czy też innego systematu filozoficznego, przysparza wiernych innym.

Przypatrzmy się teraz nieco bliżej katolicyzmowi rzymskiemu. Francya, gdzie ultramontanizm przez długi czas znajdował poparcie ze strony rządu, najodpowiedniejszem będzie polem dla badań w tym przedmiocie.

Stan oświaty pośród apostołów ultramontanizmu na niskim bardzo stoi poziomie. Jest on koniecznym wynikiem ducha ultramontańskiego, słusznie widzącego w postępie wiedzy największe dla siebie niebezpieczeństwo. Wiedza—to szatański wynalazek dla ultramontanów; nawet tak niewzruszone prawdy, jak teorya Kopernika, uważane są przez nich za odszczepieństwa, a systemat Ptolomeusza—za „jasny, genialny, zgodniejszy z Biblią“ i prawdziwy*). Nie dziwią też nas wyrażenia podobne, jak: uczony osieł“, „zesztywniała małpa“ itd., używane w polemice zamiast dowodów dla przekonywania przeciwników. „Niema pośród nas ani jednego prawdziwego profesora kościelnego... ...Biada kościołowi, jeżeli młodzież duchowna zawsze prowadzoną będzie po takiej drodze“**).

W r. 1875 ogłoszono drukiem 1,223 dzieł treści religijnej, z których 15 zaledwie dotykało kwestyi naukowych. Rocznie wychodzi w Paryżu 59 czasopism religijnych; wiele możnaby nadrukować pożytecznych rzeczy, wiele wyjaśnić zagadnień, gdyby była chęć i wiedza po temu. Lepiej jest, podług tych wielkich augurów, karmić wiernych takimi przysmakami chrześciańskiemi, jak: *O prawdziwym pasku św. Józefa* starannie zachowanym w kościele w Joinville-sur-Marne przez Abbé Desmont, z aprobatą biskupa z Langres; *Objawienie w La Sallete* potwierdzone i dowiedzione przez także z Pisma ś., czyli dowód prawdy tajemnicy pasterki Melanii wyjęty z Pisma św. przez C. R. Girarda, Grenoble. 1875; *Koniec świata w r. 1921* przez Abbé de la Tour de Noé, 7 wydanie. Tulouza 1875. W niemieckiej literaturze znajdujemy podobne dzieła: *Antychryst*

---

*) *L' Univers* z 9 lipca 1874 r.

**) List synodalny z d. 17 października 1849, podpisany przez mgr. Dupanloup i innych ojców soboru paryskiego.

i koniec świata przez dra teologii Aug. Rohlinga, prof. uniwersytetu w Pradze 1875; (przyjście antychrysta przepowiada on pomiędzy 1,900 a 1,910 rokiem); miesięcznik *Sendbote des göttlichen Herzens*, wydawany przez Józefa Malfatti, jezuitę i dyrektora apostolatu dla Niemiec; *Monatsrosen zu Ehren der unbefleckten Gottesmutter Maria*, wydawane w Insbrucku itd. W r. 1876 związek *Monatsrosen* liczył 892,834 członków.

Nowożytna literatura katolicka jest więc dalszym ciągiem roboty poprzednich stuleci; ten sam spotykamy w niej mistycyzm, też same zabobony, tak niezgodne z zasadami chrystyanizmu. W dziele np. p. n. *Historya Societatis Jesu* (Kolonia, 1621) czytamy: „Pewien nowicyusz, który zmarł 1581 r. w Rzymie, śród swych twardych walk z szatanem był podtrzymywany i wzmacniany przeświętą Pannę, karmiącą go krwią swego syna, która pozwalała mu od czasu do czasu kosztować słodyczy swych najświętszych piersi.“ Ojciec Jakób Pontanus nie widzi nic piękniejszego w swych *Duchownych pieśniach* do Maryi nad jej piersi, nic słodszego nad jej łono. Zupełnie to samo czytamy w *Żywocie Maryi Ange*, wydanym w r. 1863 w Béziers przez dra teol. Martela (s. 17): „W nocy z d. 25 paźdz. 1816 r. ksiądz z Lignani inne osoby, obecne w pokoju leżącej w ekstazie Maryi Ange. własnemi słyszały uszami pocałunki, jakie nasz Zbawiciel składał na jej ustach; zauważyli oni, iż każdy pocałunek powodował trochę cieczy, którą Marya Ange następnie ssała; gdy już znaczną spożyła jej ilość, a pocałunki trwały jeszcze, zaczęła wypuszczać tedy ciecz ową kątem swych ust. Ksiądz zbliżył się wówczas ku niej, a chwytając sok ów palcami, do ust wprowadzał; wreszcie, gdy już dostateczną ilość zebrał w taki sposób, a pocałunki trwały wciąż jeszcze, dawał każdemu z obecnych do pokosztowania... Ksiądz zmoczył cieczą tą chustkę z płótna rouen'skiego, która znajduje się w mojem posiadaniu z innemi relikwiami Maryi Ange. Na papierze, którym obwinięto ten dowód, położył ksiądz następny napis: „Chustka zmoczona płynem pocałunków Jezusa i Maryi wymienionych w nocy z d. 25 paźdz. 1816 r.“ Czyż może być jeszcze mistycyzm więcej odrażającym?

Każdy kościół chce posiadać takie relikwie, które zjednały mu jaknajwiększy rozgłos. Skutkiem takiego współubiegania się bywa, iż pewien przedmiot znajduje się w kilku jednocześnie miejscowościach. Ciało św. Zuzanny np. spoczywa w Rzymie, w kościele jej imienia i w Tuluzie. Św. Helena ma być w Wenecyi z głową, Kolonia także posiada jej głowę, a więc drugą. W St. Jean d' Angeli spoczywa ciało św. Urszuli; Kolonia jednak posiada jej głowę. a inne części ciała znajdują się także w Mans, Tours i Bergeraque.

Ilość miejsc duchownych znacznie wzrosła w czasach ostatnich, szczególnie kult Maryi zyskał wiele nowych. Część świętych nie mniejszą szczyci się ilością punktów cudownych. Dzięki jednak rozszerzeniu się gruntu cudowna liczba pielgrzymów przechodzi 3 miliony rocznie. Różne dla ściągnięcia ich wymyślono sposoby. Przed 8 laty np. jako przynętę w Longpont obiecywano pobożnym pokazać następujące relikwie: kawałki gąbki i trzciny, używanej przy krzyżowaniu Chrystusa; kawałek surduta Jezusowego, kawałki powijaków z jego lat dziecinnych, włos Najświętszej Panny, kawałek jej woalu i paska, kawałek kamienia, na którym siedziała, pasek św. Piotra itd.

W roku 1873, gdy ruch antiultramontański znaczne przybierał rozmiary, „deputacya katolickiego zgromadzenia narodowego“ urządziła procesyę uroczystą w d. 29 czerwca do Paray-le-Monial, gdzie Belcastel w imieniu 155 przedstawicieli narodu poświęcił Francyę sercu Jezusowemu wobec 9,000 pielgrzymów francuskich i częścią belgijskich.

W trzy lata później biskupi francuscy uscenizowali, pod przewodnictwem arcybiskupa paryskiego Józefa Hipolita Guiberta, pielgrzymkę do Lourdes dla poświęcenia nowo wystawionego tam kościoła. Około 150.000 osób przyjęło udział w tym obchodzie. Wygnany w 1873 r. z Szwajcaryi wikaryusz apostolski genewski K. Mermillod wystąpił jako kaznodzieja w obronie praw boskich „najwyższego jedynego pana“ t. j. papieża, którego władzę cała Europa wkrótce przyzna nad sobą. Odtąd źródło Lourdes stało się miejscem kuracyjnem, duchowni jednak ojcowie uważają za korzystniejsze dla ich zdrowia jeździć do Vichy. Jeszcze w 1874 r. w Neufchâteau, (Lotaryngia) i w Lucernie (Szwajcarya) sprzedawano litr owej wody po 3 franki*). Dziś znacznie staniała, bo litr kosztuje tylko 2 franki, w „Librairie catholique“ w Fryburgu szwajcarskim. W Lourdes wyrabia się także likier uzdrawiający, zwany „immortelle,“ którego jedną ze składowych części jest woda cudowna.

Pius IX ten „najwyższy i jedyny pan“ za życia jeszcze czczony był więcej, aniżeli każdy inny święty katolicki. Msgr. de Ségur. na kongresie katolickim w Bordeaux (1876), nazwał Piusa IX „żywym sakramentem.“

(D. c. n.)

Dr. A. Złotnicki.

*) *Démocratie catholique*, 15 novembre, 1874.

LIBERUM VETO.

Kłopoty naszych Veuillotów. — Pomoc *Przeglądu Katolickiego* dla tonących. — Nieznajomość słownictwa katolickiego. — Bezbożność tych, co nie wypuszczają Boga z serca. — Ewangelia Lindleya. — Szczęście Warszawy do Apfelbaumów. — Kanalizacya i kanał Sueski. — Ideały czasu. — Piękny akord. — Złote listki. — Arka w żołądku.

Na wieść o nowomianowanych biskupach pobożne pisma nasze rzuciły się do niesienia nad nimi baldachimu i zaczęły wiernym wykładać rozmaite tajemnice kościelnych z tego powodu ceremonij. Wszystko poszłoby gładko, gdyby znajomość słownictwa duchownego nie zawiodła. Niestety, okazało się, że szanowni nasi Veuillocì, którzy tak gorliwie apostołują katolicyzm, albo z nim dawno wzięli rozwód, albo bardzo świeżo go poślubili. Wpadli bowiem w tak przykre pomyłki, że aż prefekt naszej prasy dał im złe stopnie z religii. I tak, jednemu zdawało się, że *ingres* biskupi,“ to wielki pierścień, drugiemu—że *paliusz*— to kapelusz z dużemi skrzydłami, a najmłodszy w archikonfraterni literackiej, *Kraj* petersburski zabrnął już w takie kłopoty, że go ktoś lepiej obeznany z nomenklaturą kościelną aż na całej szpalcie *Gazety Polskiej* musiał wydobywać. Wobec tak smutnych rezultatów egzaminu, jakiś poczciwy ksiądz poradził w *Biesiadzie Literackiej* naszym źle wyćwiczonym synom kościoła, ażeby, już jeśli chcą wykładać wiernym ceremoniał wyświęcania biskupów, trzymali się *Przeglądu Katolickiego*, który ich z labiryntu wyprowadzi i który rzeczywiście główniejsze wątpliwości rozstrzygać zaczął. Dzięki tej pomocy Veuillocì nasi są już dziś w stanie objaśnić czytelnikom, że *ingres*—to nie pierścień, ale wejście biskupa a *paliusz* nie kapelusz, lecz wstęga wełniana. Zawsze mocno ja podejrzywałem erudycyę teologiczną tych mężów, którzy najgłośniej w naszej prasie śpiewają różaniec; ale teraz, gdyby mi którykolwiek z nich zarzucił bezbożność, odpowiem mu: a czy też pan dobrodziej pamięta *ingres* — hę? Bądź co bądź, nikt chyba nie zaprzeczy, że biskupi byli potrzebni dla naszych literatów. Chłop będzie tak samo się modlił, jak się modlił dotąd, ale „twardo stojący przy wierze *ojców*“ (najwyżej— gdyż dziadowie ich nieraz byli innego wyznania) wymagają dozoru, jeżeli nie mają stracić całkiem religijnego kredytu. Przedewszystkiem donoszę nowym biskupom, że najpobożniejsi literaci wcale nie chodzą do kościoła (chyba na wystawne śluby), nie spowiadają się, nie poszczą, w procesyach udziału nie biorą, a wszystkie te obowiązki pozostawiają — czytelnikom. Dobre to dla bezwyznaniowców, ale nie dla ludzi, którzy zapewniają, że Bóg nawet wtedy ich serca nie opuszcza, gdy przypominają abonentom o terminie kwartalnej przedpłaty.

Dzięki jedynie zajęciu się biskupami panowie Lindley ojciec, syn a podobno i wnuk nie zostali jeszcze tak silnie zaatakowani, jakby należało. Ale, zdaje się, nastąpi to niezadługo, gdyż już padły pierwsze strzały armatnie w walnej bitwie, rozpoczętej pod dowództwem *Przeglądu Technicznego*. Pismo to wykazało dowodnie, że inżenier angielski z nas kpił, kpić i długo jeszcze kpić zamierza. Otrzymawszy kanalizacyę Warszawy, podstawił do kontraktu zamiast siebie swego syna, syn znów wyręczył się kim innym, a i ten ktoś inny, może dochodząc dopiero do pełnoletności, z rozpoczęciem robót wcale się nie śpieszy. Powód tej zamiany i zwłoki bardzo prosty. P. Lindley Abraham rozumuje sobie tak: mnie obstalunków do końca życia wystarczy; muszę więc myśleć o moim Izaaku, a nawet Jakóbie i synach jego; ci zaś, o ile już dorośli, powinni wprzód spełnić zobowiązania względem tych, którzy się za nos wodzić nie pozwalają; głupi polacy mogą sobie poczekać na mego wnuka, a jeśli będą mieli kanalizacyę o kilkanaście lat później, to świat jeszcze nie zginie. I przyznać trzeba, że p. Lindley jest bardzo troskliwym —dziadkiem, a chociaż nie zaczął jeszcze przeprowadzać rur, uczy nas za to cnót rodzinnych. Już to przyznać trzeba, że Warszawa ma szczęście do... Apfelbaumów, kiedy jeden z nich aż w Anglii dla niej się znalazł. Dopóki idzie o licytacyę i zawarcie kontraktu, wszystko snuje się jak z płatka; dopiero po podpisaniu umowy z Lindleya robi się Apfelbaum, z Apfelbauma Średnicki i tak dalej postępuje przemiana gatunków, która tradycyę brudu na ulicach naszego miasta pozostawia w zupełnym spokoju. Wiadomo nam wszystkim, ile trudów poświęcił dla kanalizacyi zacny prezydent Starynkiewicz, wierzymy przeto, że on nie pozwoli jej kierownikowi opóźnić i podkopać przedsięwzięcia, wywalczonego z takim mozołem. W kontrakcie przecież musi być przewidzianem niedbalstwo p. Lindleya, po co tu więc ceregiele, które przynoszą miastu nieobliczone szkody? Jużeśmy dość wchłonęli w siebie kurzu i wyziewów, jeśli to do zbawienia zyskiwanego umartwionem ciałem było potrzebnem; mamy prawo nieco odpocząć w owej torturze płuc — my, których już blisko pół miliona zgromadziło się na jednem brudnem miejscu. Radom, posiadający niewytworną, ale dawną kanalizacyę, długo śmiał się ze stolicy, ale teraz już chyba nad nią płakać zacznie. Na litość *Przeglądzie Techniczny*, pociesz nas przynajmniej, że to tylko chwilowe roztargnienie p. Lindleya, że wreszcie tę nieszczęsną, przez tyle lat pętaną i od Ananaszów do Kaifaszów włoczoną kanalizacyę otrzymamy, że ona może wprzód będzie przeprowadzoną, niż... drugi Kanał Sueski. Lepiej żyć w Egipcie!

Tak więc kanalizacya pozostaje dla nas tylko „ideałem czasu“ a *Tygodnik Ilustrowany* najniesłuszniej w rachunku marzeń obecnego pokolenia ją pominął. Jest to tem dziwniejsze, że szanowny Nestor polskich ilustracyj cel życia wszystkich złożył w szczęściu. „Na czem zależy szczęście

człowieka?“ — pyta ksiądz Putyatycki i odpowiada: „Na tem, ażeby Pana Boga swego znał, jemu służył a po śmierci żywot wieczny otrzymał.“ *Tygodnik Ilustrowany* wszakże, nic nie mówiąc o ks. Putyatyckim, zdaje się być innego zdania. Pod tytułem „ideały czasu“ zamieścił on bardzo trzeźwe i zasadne rozumowanie, które niczem nie przypomina, że po tych samych kolumnach przewiała niedawno „morowa zaraza“ i inne wonie zwykłej asafetydy, przykładanej do nosa postępowcom. Owszem *Tygodnik* wyraźnie ich broni, a nawet dowodzi, że „ideały dzisiejsze pod wielu względami są wyższe od dawnych.“ Czego chce człowiek teraźniejszy, spółczesny? Chleba i swobody. „Mając to oboje, znajdą się i inne akcesorya szczęścia: wiedza i prawda, cnota i piękno...“ „Jeżeli porównamy (pod względem uczuć narodowych) społeczne pokolenie, u siebie czy gdzieindziej, z dawniejszem, nie można powiedzieć, żeby mniej żywo czuło lub gorzej rozumiało to dążenie do ideału narodowego.“ *Tygodnik* umie nawet ocenić ostatni stopień tych pragnień. „Ukochać we wszystkich ludziach braci — powiada on — pracować w tej myśli, że suma szczęścia dostępnego człowiekowi stanie się powoli udziałem coraz większej liczby ludzi — jest to wznieść się na najwyższy szczebel drabiny ludzkiej — wyżej sięgnąć niepodobna, bo ludzkość ogarnia wszystkie kręgi życia społecznego.“ Nareszcie! Nareszcie w organie konserwatywnym odezwał się akord bez nuty urągającej zasadom i celom spółczesnego pokolenia, nareszcie usłyszeliśmy głos, całkiem wolny od dzikich oskarżeń. Wydaje on się tak naturalnym, a przecież brzmi tak rzadko! Pisma postępowe nauczyły się już u nas sprawiedliwości, większość zachowawczych nie nauczy się jej nigdy. Stare basetle tylko mruczą i usiłują wyjść z taktu skrzypiec. To cała ich mądrość i — melodya. Gdybym symbolizował naturę owych pism, przedstawiłbym buldoga, który ukąsiwszy źrebaka w udo, tak zaciął sobie zęby, że nie może ich otworzyć i od swej ofiary się uwolnić. *Tygodnik Ilustrowany* takiem buldogiem nie był, a jak widzimy — znowu być nie chce.

Jego towarzysz *Powszechny* daleko lepiej by zrobił, uszczknąwszy z „ideałów czasu“ jakiś „złoty listek,“ niż wplatając do bukietu godnych pamięci wyrzeczeń banalne frazesy domorosłych kaznodziejów... W ostatnim numerze między „złotymi listkami“ znajdujemy i taki:

> I w tem *wielka jest nauka*:
> Jeść nie sztuka, trawić sztuka!

Odbierając natchnienia na Olimpie między Stępkowskim a Boquetem, inaczej śpiewać trudno. Ale jeżeli jest to także „ideał czasu,“ to wdzięczni jesteśmy poecie, który nam wskazał, gdzie według niego spoczywa „nauka“ i „sztuka.“ My również w żołądku widzieliśmy arkę pewnych proroków, ale zawsze zakrzykiwano nas, gdyśmy napomknęli, że celem ich życia jest dobre trawienie. Niech teraz spróbują pisnąć, zaraz odeprę: czy panowie znacie „złoty listek“ p. W. Szymanowskiego?

> I w tem wielka jest nauka:
> Jeść nie sztuka, trawić sztuka!

O, jakże bogatą jest galerya „ideałów czasu“ — na zdrowym żołądku się zaczyna a na szczęściu ludzkości się kończy.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Poważny stosunek pewnej firmy przemysłowej do robotników. — Chowanie milionów. — Opowieść o pułkowniku. — Szlachetne zabójstwo. — Opinia górna i dolna. — Czuły mąż i tkliwi ojcowie. — Usiłowania lubelskiego wieprza.

Tajniki skarbowości zbadała jedna z naszych prowincyonalnych firm przemysłowych. Pojmując „poważnie“ swój stosunek do robotników, postanowiła ona założyć dla nich kasę zaliczkowo-wkładową. Przebiegając paragrafy ustawy, spostrzegłem, iż główną ich osią jest gorąca chęć robienia milionów rubli z groszów polskich — rozumie się w czasie odpowiednio długim. Po 20 latach pracy w zakładzie każdy robotnik otrzyma dwieście kilkadziesiąt rubli jednorazowej zapomogi. Jeżeli szczęśliwy posiadacz odda tę sumkę na procent składany, to po upływie lat 200 (mniej niż czwarta część wieku Matuzala) będzie panem kapitałów, z których odsetki zapewnią mu spokojną i wygodną starość. Rozdając miliony robotnikom, „poważna firma“ zostawia sobie tylko krocie, które zaledwie po 365 dniach będzie mogła schować do kieszeni.

Chowanie milionów staje się coraz bardziej świętem hasłem naszego ziemiaństwa. Tymczasem posiada już ono szereg *kieszeni*, które po dokładnem ich zeszyciu będą gotowe do przyjęcia „materyalnej potęgi kraju.“ Milionów mają dostarczyć spółki rolnicze komandytowe; ale kto da pieniędzy spółkom?

— Może pułkownik?

— Jaki znowu pułkownik?

— A, to pan nic nie wiesz? Posłuchaj. Przed dwudziestu laty, kiedy się szlachta kujawska zebrała we Włocławku dla założenia domu komisowego rolników, mieszkał w tem mieście jakiś poczciwy izraelita. Nazywano go, nie wiem za co, pułkownikiem: musiał chyba przewodzić hufcowi zrujnowanych pół-panków.

— Cóż pułkowniku—powiada do niego przewodniczący obradom obywatel— zginiecie. jak rude myszy!

— Ajwaj, dla czego nie?

— Ale tu niema żartów! Zakładamy spółkę handlową.

— Nu, a jaki jest kapitał zakładowy?

— Milion złotych.

— Och, to nie może być!

— Jakto nie może być?

— A skądbym ja wziął dla was tyle pieniędzy.

Skarciłem surowo pesymizm mego przyjaciela, starając się go przekonać, że ziemianie nasi dają sobie radę bez pomocy lichwiarzy, że do zawiązywania spółek biorą się teraz już z dostatecznym zasobem pieniężnym i naukowym. Argumentowałem tak gorąco, iż w końcu nie tylko przyjaciel, ale i ja sam... uwierzyłem mym słowom. Zakładajcie więc, panowie, spółki obywatelskie; pamiętajcie jednak, że obywatelem kraju nie nazywa się ten tylko, kto sieje 1,000 korcy pszenicy rocznie i mówi „panie dobrodzieju.“

Dziką jakąś spółkę zawiązali niedawno młodzi „obywatele“ w Sandomierskiem. Celem stowarzyszenia było szlachetne zabójstwo, albo tak zwany pojedynek amerykański. Pomiędzy panem F. rządcą wsi K. i p. W. wynikło nieporozumienie „na balu, pod Dutowem w Galicyi, w domu zamożnego obywatela, z którego synem p. F. kolegował w szkole rolniczej w Pruszkowie na Szlązku. Pan F. tłomacząc się, że przysiągł sobie. iż pojedynkować się nigdy nie będzie, nie chciał przyjąć innego pojedynku oprócz amerykańskiego, jako przysięgą nie objętego. Ułożono się, że ten uznany będzie za zwycięzcę, kto na tym samym koniu prędzej jednaką przestrzeń przebiegnie. F. stanął o 7 minut później od swego przeciwnika, uznał się za pokonanego i, wymówiwszy sobie tydzień czasu zwłoki, dokonał warunku pojedynkowego.“

Jeden z paragrafów sztuki życia powiada, iż wolno jest w pewnych razach wejść do salonu z laską. Z pozwolenia tego korzystałbym zawsze, wchodząc do salonu, gdzie się toczą układy sekundantów.

Przyczyną smutnego zajścia była podobno jakaś kokardka kotylionowa. Rozumie się! Skądżebyśmy inaczej brali materyał do lirycznych kwileń o posłannictwie naszych niewiast w rodzinie. Jakkolwiek pamiętam, iż większa część tych „aniołów“ zajmuje u nas wydatne stanowisko i to nie tylko w kotylionie, ale i w mazurze i w kontredansie, to jednak dla żadnej kokardki na świecie nie zrobiłbym tego, co p. F. Wolałbym pomagać Aszantom w walce z Dahomejcami. Opinia publiczna sandomierzan oburza się podobno na świadków pojedynku; nie mogła ona jednak powstrzymać w biegu ścigających się na rumaku, gdyż własna jej szkapa, na której jedzie, ledwie nogami powłóczy.

Nie chcąc kazić obyczajów ojczystych obczyzną, jakiś Wojtek w Lubelskiem postanowił rozprawić się ze swoją młodą żoną sposobem miejscowym. Zabrawszy kobietę z domu rodziców, dokąd uciekła od czułego małżonka, zapragnął wypróbować nie tylko uległość nawróconej, ale i jej siłę pociągową. W tym celu przywiązawszy biedaczkę do dyszla obok chudej swej klaczki, zaczął obie poganiać batem, zachowując się jednak z większą względnością dla „chudoby“ niż dla żony. Eksperyment odbywał się na przestrzeni dwóch wiorst drogi, a wynikiem jego były: ciężka choroba kobieciny i zaaresztowanie głupiego chłopa. Trzeba przyznać, iż opinia Wojtków, niepozwalająca zabijać na śmierć, wyżej stoi od „powszechnego głosu“ pozłoconej młodzieży sandomierskiej.

Tkliwi mężowie nie robią u nas wstydu czułym ojcom i matkom. Dzieci naszych wieśniaków, wylazłszy już z brudnych chałup wiejskich, mogą teraz dowoli topić się w kałużach, spadać z wierzb nadbrzeżnych do wody, albo staczać walki o podwieczorek z kurami i żuczkami. W ostatnich dniach *Gazeta Lubelska* narachowała aż trzy tego rodzaju wypadki. Trzy duszyczki chłopiąt wiejskich zwiększyły liczbę aniołków i trzy brudne ciałka poszły na pożywienie srebrzystym rybkom. Jakie to wszystko rzewne i swojskie!

Rozzuchwalony takim niedbalstwem o los dzieci wiejskich, jakiś wieprz zażarty umyślił spróbować szczęścia w mieście. Śród dnia białego na jednej z pryncypalnych ulic Lublina porwał on małe żydziątko za rękę i wlókł za sobą po bruku dość długo. Zaledwie kilkakrotne razy i krzyki przechodniów przekonały zwierzę, że jego bracia i siostry mogą zjadać nasze dzieci — ale na wsi. Prawdopodobnie żydzi lubelscy zanieśli maleństwo do rabina, aby je oczyścił po *trefnym* dotknięciu *chazeru*. Czy jednak przedsięweźmą jakieś inne kroki ostrożności na przyszłość — wątpię.

Wszak dla nas wszystkich jedyną ucieczką są... rabini.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 22 maja.

Reforma przemysłowa w Austryi i mowa p. Zallingera. — Zmiany w taryfie celnej Unii amerykańskiej i wielkie bezrobocia. — Okólnik papieski do biskupów irlandzkich i liga narodowa.

W Wiedniu ważne czynności komisyi parlamentarnej i biegłych w sprawie reformy ustawy przemysłowej (której poświęcamy osobny artykuł), zostały już

zamknięte. Zakończyła je mowa prezesa Zallingera, streszczająca rezultat rozpraw. „Ankieta nasza — zaznaczył on — dała bogaty materyał wielkiej wartości dla prawodawstwa, jednocześnie wszakże wykazała niebezpieczeństwa kwestyi socyalnej i potrzebę wielkich reform w tym kierunku. Niebezpieczeństwu temu zajrzeć trzeba prosto w oczy, aby na czas z właściwą pośpieszyć pomocą. Byłoby najgorszą rzeczą, gdyby wielkie masy ludu, dla których stanowimy prawa, nie zostały wysłuchane i musiały radzić o swej nędzy na ulicach i placach publicznych. Jeśli powołano do sali sejmowej robotników rozmaitych gałęzi przemysłu, trzeba ich słowo osłonić nietykalnością, jaką zapewnia parlament; tembardziej, że nie zostali oni tu powołani do wyrażenia zawiści panującej pomiędzy warstwami społecznemi, lecz do objaśnienia swych życzeń i potrzeb, abyśmy ich ratowali od swobody umierania z głodu i od egzystencyi niegodnej człowieka, abyśmy nad nimi rozciągnęli opiekę prawa, której się słusznie domagają. Na początku naszej ankiety zwracano uwagę, że i przemysł potrzebuje opieki; sądzę jednak, że opiekując się losem robotników, niesiemy najlepsze poparcie uczciwym przemysłowcom wobec nieuczciwych, którzy swe zwycięskie współzawodnictwo zawdzięczają ohydnemu wyzyskiwaniu pracy. Nauki socyalizmu radykalnego nie są nowe, przybrane w nową formę tylko; słyszeliśmy tu w przerażającej nagości poglądy wypowiadane już dawno. Przeciw takim poglądom i głosom nie wystarcza przywoływanie do porządku przez prezydującego, tem mniej mizerne środki policyjne, ani też bagnety. Takie rany społeczne inaczej leczyć należy. Przed 1,900 laty przywódca socyalny Spartakus zagrzewał powstanie niewolników złowrogiem hasłem: „Niema sprawiedliwości na ziemi, bo niema bogów w niebie!“ W podobnej też myśli wołał Lassalle: „Mieszczanie wskazują wam dobra niebieskie, spróbujcie pierwej skosztować dóbr ziemskich, abyście wiedzieli, jak smakują!“ Jestto również hasłem socyalistów dzisiejszych. Dla tego zwracam się z prośbą do obecnych tu panów biegłych przedewszystkiem ze sfer robotniczych, aby powróciwszy do swoich, zechcieli przedstawić im w sposób uspakajający, że komisya przemysłowa pragnie usilnie spełnić wszelkie słuszne życzenia i że chce drogą pokojową zapobiedz złemu i przyjść gdzie trzeba z pomocą.“ O ile ziszczą się te optymistyczne zapowiedzi p. Zallingera, bliska przyszłość pokaże.

Tymczasem na drugiej półkuli globu zbierają się groźne chmury wielkiej walki socyalnej. Zmiany, wprowadzone przez kongres Unii amerykańskiej w podatkach i taryfie celnej, wywołują ważne następstwa ekonomiczne. Opłata od cygar została znacznie zmniejszona a robotnicy domagają się już podwyżki płacy o całego dolara na 1,000 sztuk cygar. W niektórych miejscowościach fabrykanci zgodzili się już na ich żądania; tam zaś, gdzie to jeszcze nie nastąpiło, spodziewane są wielkie bezrobocia i zaburzenia fabryczne. W przemyśle żelaznym dzieje się toż samo, lecz w odwrotnym stosunku. Opłaty od żelaza zostały powiększone. Dla tego właściciele kuźnic i fabryk machin zawiadomili swych robotników o obniżce płacy o 10 do 20%. W skutek tego we wszystkich zakładach żelaznych ma nastąpić wkrótce wielkie bezrobocie, które mieć będzie nierównie szersze następstwa, aniżeli bezrobocie tytuniowe, albowiem przeszło 100,000 robotników żelaznych opuścić ma zakłady, produkujące towaru za 30,000.000 dolarów.

Okólnik papieża do biskupów irlandzkich, zakazujący duchownym udziału w składkach narodowych, wywołał w Irlandyi jak najgorsze wrażenie, nierównie większe, aniżeli wnosić można było o tem z odnośnych telegramów. Liga narodowa irlandzka zerwała z papieżem, który stracił na nią wszelki wpływ. Za to prasa rządowa angielska cieszy się bardzo z upomnienia biskupów, a głównie arcybiskupa, który ofiarował znaczną sumę na cele narodowe. Liga irlandzka przez usta p. Mayne'a, jednego z przywódców homerulerów, przestrzegła papieża, aby ten pilnując interesów religijnych, które do niego należą, nie kładł palca między drzwi polityczne, albowiem Parnell jest obecnie jedynym naczelnikiem, którego naród iryjski uznaje.

S. C.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. W petersburskiej Akademii medycznej mają na nowo przywrócić pięć kursów.

— Administracyjny wydział w uniwersytecie petersburskim zostaje zniesiony.

Habilitacya. P. Franciszek Kamieński, dotychczasowy docent przy uniwersytecie lwowskim, obronił 13 maja w uniwersytecie petersburskim rozprawy na stopień magistra botaniki p. t. Materyały dla biologii i morfologii korzeniówki (*monotropa hypopitys*).

Reformy. Projekt wprowadzenia w Warszawie sędziów pokoju honorowych będzie zdecydowany na obecnej sesyi Rady państwa.

Sądy. Adwokat piotrkowski Horodyński, stawający w sądzie miejscowym jako świadek, za opór w składaniu zeznań po rosyjsku, zawieszony został w swych obowiązkach na trzy miesiące. Warszawska Izba Sądowa wyrok ten przed kilku dniami zatwierdziła. Jeżeli pojedynczy wypadek upoważnia do wniosku ogólnego, wypadałoby, że adwokatom przysięgłym zeznań po polsku składać nie wolno.

Zapis. P. Korytkowski, emeryt, złożył w Banku Polskim 10.000 rs. na stypendya dla studentów uniwersytetu.

Wykłady. Pomimo odmowy ze strony włoskiego rządu zasiłku 2000 franków dla katedry literatury polskiej, uniwersytet boloński i zarząd Akademii wezwały Lenartowicza o dalsze prowadzenie wykładów, na co tenże zgodził się a przez kwiecień i maj po dwa razy tygodniowo czytał lekcye. Od nowego roku wykłada również w uniwersytecie bolońskim p. Ogonowska język polski i rosyjski cztery razy na tydzień.

Lekarki. W gubernii pskowskiej miejscowe ziemstwo wydało rozporządzenie, usuwające od obowiązków kobiety, zostające na posadach lekarskich. Charakterystyczna oznaka czasu!

Przemysł. Fabrykant łódzki J. Poznański wzniósł fabrykę gazu przeważnie dla użytku własnych zakładów.

— W okolicy Przasnysza rozpoczęto budowę fabryki mączki cukrowej.

Konkurs ogłoszony przez dyrekcyę teatru krakowskiego na utwór dramatyczny z epoki Jana Sobieskiego, dla braku nadesłanych utworów znowu przedłużonym został do 15 czerwca b. r.

— Dyrekcya teatrów warszawskich ogłosiła konkurs na utwór sceniczny z nagrodą pierwszą rs. 500 i drugą rs. 300. Termin 1 grudnia r. b.

Zabytki. Robotnicy zatrudnieni przy budowie mostu na Renie pod Moguncyą, pod dnem rzeki w głębokości kilku metrów znaleźli okręt starożytny, zbudowany z dębiny, bardzo dobrze zachowany.

Kasa przezorności, z inicyatywy ros. Towarz. dla poparcia handlu i przemysłu pod opieką rządu ma być założoną dla robotników i ludzi pracy. Podług projektu rozciągnie ona swą działalność i na Królestwo,

Ciekawa statystyka. *Russkij Kuryer* szczegółowo oblicza, że w celu protegowania miejscowego cukrownictwa w ciągu 10 tylko lat ludność państwa opłaciła przewyżkę ceny w ilości 480,000,000 rs.. a w ciągu 40 lat około $1^1/_2$ miliarda.

Wystawy. W Paryżu odbywa się obecnie wystawa... lasek!

Bibliografia polska. Władysław Smoleński: *Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiej*, Warszawa.

Prasa rosyjska. P. Katkow, redaktor *Moskowskich Wiedomostiej* nabył obie istniejące w Rosyi agencye telegraficzne: międzynarodową i północną. Tym sposobem ma on w ręku monopol dostarczania wiadomości innym gazetom.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Ł. M. w Warszawie. Dziękujemy za zwrócenie uwagi, chociaż co do cudzysłowów — są one w porządku. Pozorna niedokładność stąd pochodzi, że w cytatach naszego korespondenta mieszczą się również cytaty.

P. K. S. w Petersburgu. Nie znamy, ale sądząc z samego tytułu, wątpimy, czyby przeszła rogatkę.

Sprostowanie. W artykule (nr. 20) „Współczesny ruch religijny“ zamiast Rouge, czytać należy *Ronge*, nadto przy nazwie *Schneidemühle*, opuszczono nazwę polską *Piła*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Мая 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.